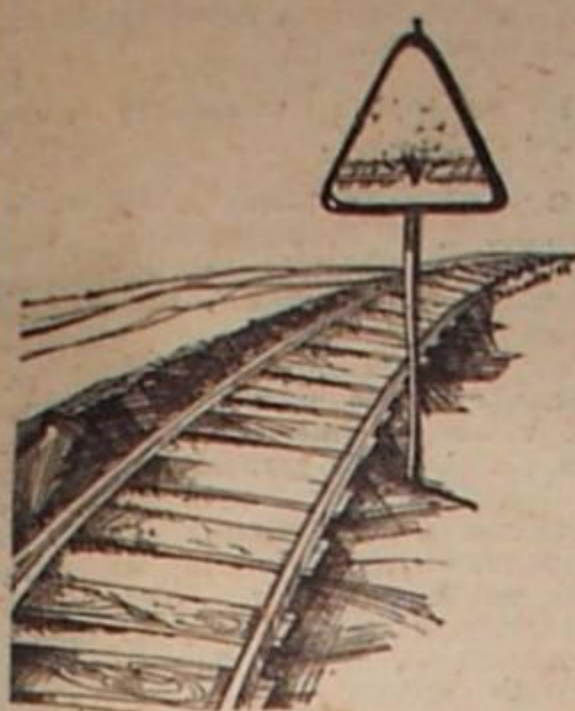


Kamena

NR 21 (841)

20 października 1985

CENA 10 ZŁ



Rys. Zbigniew Cieniec

Miłość do wąskotorówki

... Nałęczowska Kolej Dojazdowa nie figuruje w karcie uzdrowiskowych atrakcji. Jest natomiast jedną z najpracowitszych w ogólnopolskiej sieci kolei wąskotorowych.

str. 3, 8-9



... Daj nam, Boże ludowy, niech będzie satyryk — antypaństwowy!

str. 6-7

Grać w koniki?

... Można obstawić zwyczajnie (pierwszy koń w gonitwie) i po francusku (koń pierwszy lub drugi), porządkowo (dwa konie, pierwszy i drugi) i łącznie (pierwsze konie w trzech kolejnych gonitwach).

str. 7

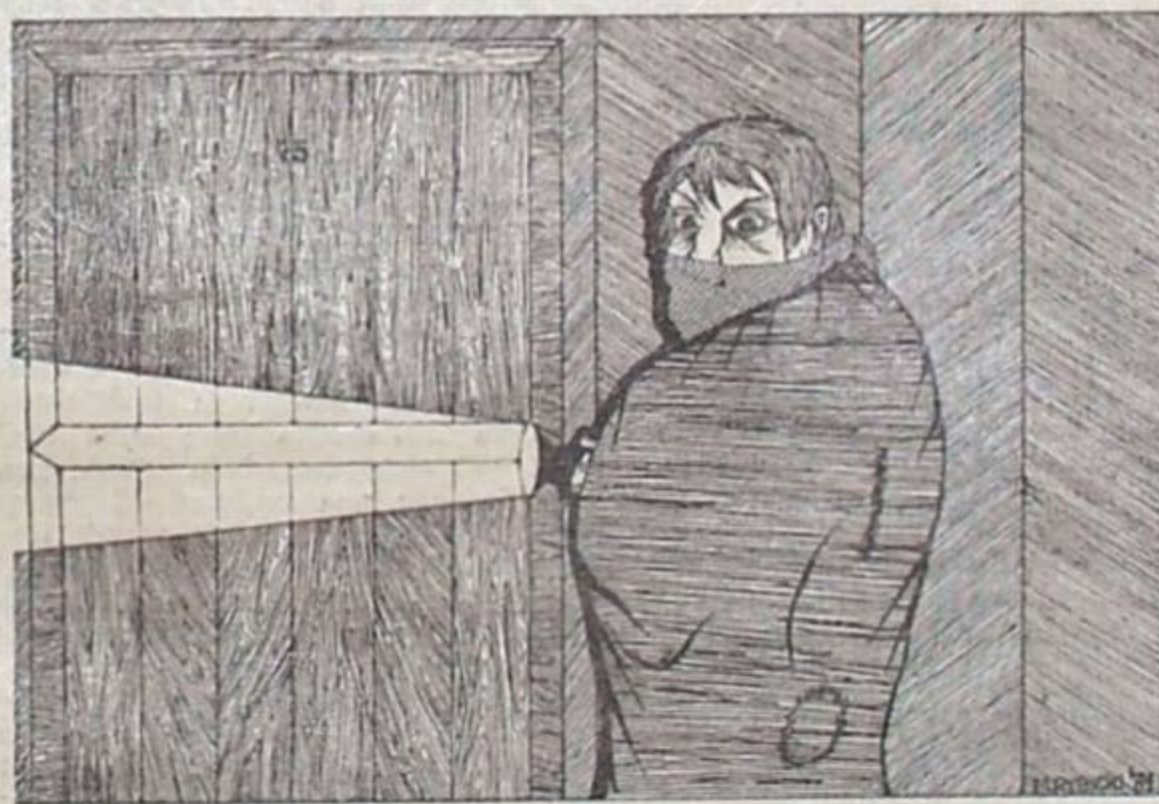


Rys. Zygmunt Pytlak

Lublin nocą.

... Przy składnicy harcerskiej „gwardia prezydenta” — kilku milicjantów, ormowców i szklarz. Ktoś wybił w wystawie szybę. Trzeba to zaraz zalepić.

str. 12



Rys. Mariusz Rybicki

80-lecie ZNP

... Powszechnie znane są przykłady masowego udziału nauczycieli w walce zbrojnej, ale jeszcze powszechniej toczyła się walka na odcinku tajnej oświaty.

str. 5

Matka w studni

...Patrzę — studnia, pytam się, gdzie chory — w studni. Stoję jak głupi, a ze studni baba woła: ratunku...

str. 3, 8

Duet komediowy



str. 9

Świat Trifonowa

...I tak stopniowo zmieniają przyjaciół, żony czy dziewczyny, i zapominają właściwie kim byli i kim są, i tracą własną tożsamość, choć wydaje im się, że to wszystko w imię zawodowych sukcesów.

str. 4

Fryzjer

... Proszę mnie ładnie uczesać! — żądał łysy wesolek i siadał z poważną miną na fotelu.

str. 10

z notatnika

Mały jubileusz „Tygodnika Chelmskiego”

8 X. W tym miesiącu „Tygodnik Chelmski” będzie obchodził pięćdziesiąt lat istnienia. Pięć lat to okres niewielki, ale nie będzie przesady, gdy stwierdzę, że pismo na trwałe już się zapisało w szeroko pojętym krajobrazie chelmskim, że stara się przedstawiać jego polityczne, społeczne i kulturalne przeobrażenia. Czyni to rzetelnie, zwalczając partykularyzmy niekiedy i ostro ukłując. Słowem — raczej burzy pomniki niż je stawia.

Pamiętam, jak pierwszy numer „Tygodnika” przyniósł na nadzwyczajne zebranie lubelskiego oddziału SDP w październiku 1980 r. ówczesny redaktor naczelny, założyciel „TCh” — Janusz Malinowski. Po „Tygodniku Zamojskim” i „Słowie Podlasia” było to trzecie tego typu pismo powstałe w naszym regionie. Oglądaliśmy je z zainteresowaniem, zwłaszcza że Janusz był bardzo dumny, iż wreszcie i w Chełmie coś się ruszyło. A przecież przed wojną, choć nieregularnie, wychodziły w tym mieście i „Kronika Nadbużańska”, i „Zwierciadło”. W tymże „Zwierciadło” w jednym z numerów z 1929 roku (piszę „w jednym”, bo mam tylko wycinki dokonane ręką autorki, Wawrzyńca Berezeckiego) można przeczytać taką notatkę: „We wczesnych godzinach rannych przechodnie ulicy Lubelskiej usłyszeli ciche jęki dochodzące z bramy jednego z domów, gdzie w klatce schodowej znaleziono kobietę, która wyla się w okropnych bólach. Leżąca obok niej flaszeczka, z której wydobywał się charakterystyczny ostry zapach esencji octowej jasno wskazywała na zamach samobójczy. Okazało się, że jest to 30-letnia Sabina Górńska, z zawodu służąca, bezrobotna. Przewieziona do szpitala denatka po upływie kilku godzin zmarła. Przyczyną rozpaczliwego kroku było wydalenie z pracy”.

Po 54 latach czytam w „Tygodniku Chelmskim”, jak to została skrzywdzona Karolina P. ze wsi Lipinki. Kupiła ona od dwóch mężczyzn, podających się za Bułgarów, za jedyne 50 tysięcy zetał dwie obrączki i pierścionek. Biżuteria, oczywiście, nie była złota...

Te dwie notatki więcej mówią o dawnych i dzisiejszych czasach niż łączyste referaty!

Oczywiście „Tygodnik Chelmski” żyje nie tylko rubryką „Wpadki i wypadki”, choć z pewnością wielu czytelników od niej właśnie zaczyna lekturę pisma, co dziwi nie powinno... Jeśli chodzi o mnie, to, tradycyjnie, sięgam do felietonu na ostatniej stronie. Marek Kasz, felietonista „Kultury”, który w „TCh” startował, ma dobrych naśladowców. Może coś przezapomniałem, ale dawno nie widziałem polemiiki z felietonami Jana Matacza. Szkoda, bo lubię, gdy coś się dzieje...

Ale teraz poważnie. Redaktorem naczelnym „Tygodnika Chelmskiego” jest obecnie Piotr Miszczyk, jego zastępcą Jerzy Górny, a sekretarzem redakcji Witold Graboś. Ci młodzi stażem dziennikarze — a mnie, weteranowi, który na lamach „Ziemi Chelmskiej” debiutował w listopadzie 1944 roku, jeszcze jako uczeń gimnazjalny, wolno tak powiedzieć — tworzą pismo, które chce się czytać. Zachęcają już same tytuły poszczególnych tekstów („Słucham, komendant Fabiańczyk”, „Czy w Chełmie aresztują?”, „Zawsze kiedy chcą”, „Gorączka złota” — wszystkie z n-ru 41). Rzecz jednak nie tylko w tytułach, choć są one ważne. Odnoszę wrażenie, że pismo umie rozkładać proporcje,

zamieszcza artykuły mogące zainteresować różne środowiska, zajmuje się przede wszystkim dniem dzisiejszym ziemi chelmskiej, ale nie zapomina i o jej pięknej przeszłości.

Więc powodzenia! I na stałe tych szesnastu stroniczek, czego i „Kamienie” życzył!

Janie Serce, wróć!

10 X. Interesujące dane znalazłem w „Przeglądzie Kulturalnym”. Serial „Powrót do Edenu” osiągnął już 78 proc. oglądalności (ładne słowo!) i zapewne wyprzedzi „Niewolnicę Isaurę”, tym bardziej że 59 proc. tej widowni wystawia mu oceny bardzo dobre. Maluczko, a zaprosimy do Polski główną bohaterkę. Bo niby dlaczego nie? Australijska bajeczka budzi różne emocje. „Zamiast go pokroić, zastrzelić, to ona, wariatka, idzie z nim do łóżka” — to oburzony głos kolegi z „Expressu Wicczornego”. „Dla mnie Tara — „Express” cytuję opinię 40-letniego pana — straciła swym postępkami cały urok. Po prostu zeszmaciła się”. 20-letnia rozmówczyni jest innego zdania: „Bajka, ale jakże wspaniała. Rozumiem Tare, sama też tak niszczyłabym mężczyzn...”

(Dopisuję w nocy z 13 na 14 października: „Powrót do Edenu” mamy już z głowy, ale telewizja zapowiada ciąg dalszy. Przy okazji trafił do nas wywiad z główną bohaterką, która oświadczyła, że serial w Australii miał bodaj połowę tej „oglądalności”, co w Polsce. W procentach, oczywiście. No i już prawie sprawdziło się to, o czym wspominam wyżej, bo Stefania - Tara wybiera się do Europy. Szykujemy w Polsce bramy triumfalne! A ostatni odcinek był zupełnie idiotyczny. Autorem scenariusza nie starczyło konceptu? To miała być zemsta Stefanii? Tak beznadziejnie wykoncypowana? A potem to powitanie lekarza i dzieci! W domach zabrakło zapewne chusteczek! Szkoda tylko trochę samolotu, ale zapewne i on, jak i krokodyl, był z tektury. Natomiast bohaterowie z papieru. Toaletowego, co uważam za komplement z uwagi na określone trudności w tej dziedzinie. A swoją drogą po obejrzeniu „Powrotu do Edenu” innym okiem patrzę nawet na Jana Serce. Może nie dorosłem? Panie Marianie Jaskrze, autorze „Naszej Isaury”, drukowanej na wariackich papierach w „Kamienie”, weź swych bohaterów do galopu! Polak przecież potrafi, tak nas uczono!

Dla psa czy dla dziecka?

11 X. W ukazującym się w Rzeszowie miesięczniku „Profile” Jerzy Popow pisze o psach i o ludziach. Dobrych ludziach, takich, dla których psy są prawdziwymi przyjaciółmi, ba — członkami rodziny! Kiedy pies jest ulubieńcem — stwierdza autor — „zjada to, co jego państwo otrzymują na kartki. — Miałam jedną parówkę i byłam w kłopotcie — opowiada młoda matka — ponieważ nasz piesek lubi parówkę i moje dziecko także. Komu więc ją dać? Ostatecznie parówkę zjadł piesek, ponieważ dla dziecka mam możliwość przygotowania różnych dań jarskich”.

Już widzę, jak niektórzy czytelnicy, czytając te słowa, zgrzytają zębami. Aby na tym zgrzytaniu zarobił dentysta, zacytuję dalej Jerzego Popowa: „Wśród psiarzy panuje rozbieżność poglądów, co do tego, czy pies może spać z właścicielem w łóżku. Jedni uważają to za wykluczone — inni za całkiem normalne. — W naszym domu — mówi matka — nasz pies przechodzi w nocy z jednego łóżka do drugiego, bo każdy jest o niego zazdrosny — i mąż i dzieci”.

Nie wyjawię, jaki jest mój osobisty pogląd na wyłuszczonej wyżej sprawę,

ale — nie po raz pierwszy — przyznam, że psy uwielbiam. Często są miłsze od ludzi.

M. F. Rakowski:

„Władzy trzeba patrzeć na ręce”

12 X. Z Mieczysławem F. Rakowskim rozmawiał redaktor naczelny „Faktów”, Jan Górec-Rosiński.

— Kto w Polsce — pyta JGR — odpowiada za politykę kulturalną? Rząd? Minister kultury? Narodowa Rada Kultury wiadomo, że jest organem doradczym premiera, nie ma egzekutywy. Natomiast w polityce kulturalnej liczą się nie tylko słowa, choć tu się one liczą bardzo, ale i praktyka kultury. Jeśli więc stworzony został Fundusz Literatury, to dlaczego nie można stworzyć z prawdziwego zdarzenia mecenatu państwowego? Kiedyś musi się skończyć taka sytuacja, że minister kultury daje nagrody tym, którzy podobają się towarzyszowi X lub Y, albo których zaproponował nie wiadomo kto i za co... Wolę ominąć przykłady, aby nie było ad personam, gdyż tu o problem chodzi a nie o grę układów. Dlaczego więc rząd nie powoła Komitetu Państwowych Nagród Artystycznych z ludzi kompetentnych, obiektywnych, szanowanych, cieszących się wysokim prestiżem społecznym? Niech minister nagradza, ale w oparciu o rękomię artystyczną!

MFR: — Kto odpowiada za politykę kulturalną? Odpowiada partia przede wszystkim, rząd, Narodowa Rada Kultury i, powiedziałbym, powinny odpowiadać wszystkie związki twórcze. Powstaje pytanie, w jakim stopniu...

JGR: — Są próby sprowadzenia związków twórczych do roli organizacji zawodowo - twórczej. [...] Status stowarzyszeń twórczych został osłabiony procesami lat ostatnich. Jak wiadomo, rozwiązano je w większości, potem zawiązywano nowe. To nie mogło nie odbić się na ich statusie i prestiżu. Powiedzmy otwarcie: to nie jest ten sam status, jaki był przed rokiem osiemdziesiątym.

MFR: — Czy to oznacza, że przed rokiem osiemdziesiątym związki twórcze miały taki szalony wpływ na politykę kulturalną?

JGR: — Pośrednio miały, ale zaczęły to wpływać, gdy ich kierownictwa zaczęły się orientować na działania pozastatutowe. Wydarzenia, które potem nastąpiły, wytrąciły związki twórcze z ich orbity.

MFR: — Wytrąciły dlatego, że miały w swym gronie sporo polityków, to wiemy. Natomiast ja uważam, że polityka kulturalna, aby była trafna, musi być elastyczna i wrażliwa, ponieważ dotyczy ona najbardziej skomplikowanej sfery ludzkiego działania, tego, co się dzieje tu, w głowie, i emocji, to znaczy jest to ta sfera ludzkiego działania, która się zresztą nie poddaje nigdy kontroli. To ona nie może być, że tak powiem, formowana bez twórców. Jeśli mówię, że partia, rząd odpowiadają za politykę kulturalną, oczywiście rząd znaczy też minister — to sądzę, że gdybym na tym poprzestał, byłoby to uproszczenie i byłoby to niezgodne z potrzebami ducha, gdyż kultura jest działaniem w sferze praw duchowych, prawda? W wywiadzie dla „Rzeczpospolitej” powiedziałem (dali nawet ten tytuł): „Władzy trzeba patrzeć na ręce”. Ministrowi też. Mnie też trzeba patrzeć na ręce. Dlatego, że władza ma to do siebie, że lubi być władzą. Tymczasem problem polega na tym, że władza — jest to podporządkowanie siebie i stojących do naszej dyspozycji instrumentów — racji państwa i narodu. Otóż ponieważ w człowieku tkwią bardzo różne namietności, a więc i w tym, który jest u władzy, namietności tkwią i uzewnętrzniają się różnie. Dlatego musi być poddawany silniejszej kontroli niż — przepraszam, ale nie chcę nikogo obrazić — dozorca”.

Nie dodaję, nie ująę. Stwierdzenie ważne, choć przecież nienowe. Należy je jednak powtarzać, zwłaszcza że i władza ma różny szczebel. Czasami bardzo delikatna krytyka skierowana pod adresem administracji (choć nie tylko administracji) powoduje lawinę zaprzeczeń albo inną, krótko mówiąc, reakcję — milczenie. Do czasu! Bo

nazwisko autora krytyki (albo tytuł pisma, w którym tę krytykę wyrażono) ktoś sobie już dobrze zapamięta i przy okazji z grubej lufy wystrzeli. Niestety, im szczebel niższy, tym większa obraza. Słowem następuje odwrotność proporcji.

Po co jednak wzajemnie szarpacie sobie nerwy?

Gdy mowa o Mieczysławie F. Rakowskim... Przeczytałem jednym tchem jego ostatnią książkę: „Czasy nadziei i rozczarowań”. I pomyślałem sobie, jak to dobrze, że dziennikarz (choć jednocześnie i historyk i polityk...) mógł to wszystko obserwować od wewnątrz (nie tylko obserwować, ale i o pewnych sprawach decydować, to jasne!). W przeciwnym wypadku raczej nie doczekalibyśmy się takich wspomnień spisywanych na gorąco. Oczywiście poglądy poszczególnych czytelników na temat tej pozycji mogą się krańcowo różnić, dobrze jednak, że książka powstała już teraz i stanowi lekturę dla nas, a nie dla naszych wnuków (w wieku dojrzałym).

O wyborach na gorąco

14 X. Piszę te słowa zaraz po północy, kiedy nie są jeszcze znane oficjalne wyniki wyborów do Sejmu PRL. Rzecznik prasowy rządu, Jerzy Urban, oświadczył na spotkaniu z korespondentami prasy zagranicznej, że (cytuję według własnego nagrania magnetofonowego z Polskim Radiem) „jeśli idzie o wewnętrzną ocenę wyborów, ich sens sprowadza się do uznania przez większość społeczeństwa trwałości [...] i niepodważalności ustroju socjalistycznego w Polsce. Wyrażona została generalna aproba dla linii politycznej kierownictwa państwa, linii, która jest realizacją uchwał IX Zjazdu [PZPR] i jego programu socjalistycznej odnowy. Wyborcy w większości wypowiedzieli się za spokojem, uznając go za wielką wartość, której podważanie i zakłócanie przyjmowane jest niechętnie jako zakłócanie biegu życia, jako sprzeczne z pragnieniami zdecydowanej i przytłaczającej większości...”

Rzecznik rządu mówił też, że „jeśli idzie o politykę zagraniczną, to wybory te oznaczają potwierdzenie determinacji ogromnej większości polskiego społeczeństwa umacniania bezpieczeństwa naszego kraju, jego integralności terytorialnej, w tym trwałości granic. [...] Aprobowane są sojusze Polski, a także nasza polityka [...] utrzymywania dobrych stosunków ze wszystkimi krajami. Wreszcie frekwencja [...] jest odzwierciedleniem odzucania odwetu i rewizjonizmu. [...] Dobrze by było, aby z tych wniosków [...] wyciągnęli również wnioski ci wszyscy politycy na Zachodzie, którzy politykę restrykcji i agresywnej propagandy popierają...”

Nie wiem, czy zachodni dziennikarze, zwłaszcza ci, którzy specjalnie na wybory do Polski przybyli, zdobędą dla swojej prasy (mam tu na myśli o k r e ś l o n ą prasę!) takie informacje, jakich oczekują od nich ich szefowie, spece od podsycania zimnej wojny. Incydent w Nowej Hucie przyberze zapewne monstrualne rozmiary, a groźny hulaśliwych szczeniaków doda się flesz tam decybeli. Myślę jednak, że realizm ostatecznie zatriumfuje, bo oszustwa też pewne granice mieć muszą.

M. A. Jaworski

SUKCES LUBELSKICH PLASTYKÓW

Poważny sukces odnieśli artyści z Lubelskiego na 40 Ogólnopolskim Salonie Zimowym Plastyki w Radomiu, na który napłynęły prace 170 autorów. Pierwszą nagrodę (Ministra kultury i sztuki) otrzymał Piotr Kmiec, czwartą nagrodę (radomskiego BWA) Grzegorz Dobrosław Mazurek, a wyróżnienie (Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych) — Mikołaj K. Smoczyński, Grand Prix im. Jacka Malczewskiego przyznano J. Kweclichowi z Katowic.

Serdecznie gratulujemy!

(K)

SZPITAL. nocą jest jak urojenie. Trudno uwierzyć w takie nagromadzenie chorób w jednym miejscu. Tylko ciepły kąciek siostr, które jak kociczki zwiwiają się w fotelach, jest oazą utraconego raju bez strzykawek i odrapanych basenów. Do raju siostr bywasz zapraszany, ale częściej wpraszasz się sam. Dla niektórych życie dzieli się na szpitalne i to drugie, znacznie lepsze, do którego wracają siostry. Zostają po nich rzucone w kął plastikowe czepczki i raporty pisane szkolnym piśmem. Siostry ze zmęczonymi uśmiechami zastępują nowe siostry, także amęzane, ale na świeżo uskrzydłone obowiązkim. Biedaczki wloką swoje anielskie skrzydła po wyfroterowanych korytarzach i próbują użyć poukładanym w łózkach ciałom. Przeważnie jednak utulają dusze. Zmarnowane życiem ciała przywiązują się do dolegliwości. Z czasem siostry też się do tego przyzwyczajają.

W szpitalu czas mija jak sen, z którego wciąż budzisz się na szpitalnym korytarzu. Oczywiście sen jest przyjemniejszy, gdy dyktuje młody lekarz. Siostry z nakrochmalonym szaleństwem śmigają między dyżurką a łózkami, w łanczynym pośpiechu rozpisują na następny dzień badania, bo w ich małym pokójku naciąga mocna herbata.

— Ciasto piekła panna Halinka — powiedział powoli młody lekarz i zgadł, bo nikt jak Halinka nie potrafił zrobić napoleonek. Przez nieszczelne okno wiatr unosił frankę. Halinka lekko uśmiechnęła się.

— Pan doktor uprzejmy — szepnęła skromnie.

— Pan doktor zawsze uprzejmy — stwierdziła siostra Zofia, rumiana jakby prosto z mrozu. — Panu nawet moje ciasto smakowało.

— A widać, widać — wyrwało się Halince, zaś doktor z kokietyrystycznym wstędem dotknął brzucha.

— Muszę zacząć grywać w kosza — zauważył jakby w zwolnionym tempie.

— Salowa, pani salowo... — dobiegło błaganie z końca korytarza.

— Osieczyna coś chce... — zauważyła Halinka, otrzępując malowane paznokcie z okruszków ciasta.

— Już naobtykałam się z nią — powiedziała salowa. — Pewnie złana, a podkładów mam trzy na noc.

— Pan doktor widział babkę na piątce, wczoraj przyjętą? — spytała Halinka. — Marna jest.

— Rzeczywiście.

Znowu dobiegło natrętnie nawoływanie o salową. — To pójdę — pani Stefa wstała — bo mi się Osieczyna utopi w łóżku.

— Pan doktor się częstuje — powiedziała Halinka z ujmującym uśmiechem. Miała włosy zapieczone do góry w pensjonarski warkoczek i mocno umalowane oczy.

Gdzie tam — za krótką. Ktoś na końcu wsi miał dłuższą. Przyniesli. Za krótką. Bez pacjenta nie mam co robić. Wyciągnąłem papierosa, a ze studni słyhać, a ten chodź!... Przyjechała straż. Też za krótką drabinę mieli... Wreszcie uradzili, że kto studnię robił, niech babkę wyciąga. Posłali po studniarza. Przyjechał narezanie, a ze studni kobiecina woła: ratunku... a echo „unku, unku, a syn lata dookoła, raz za razem papierosem się zaciąga i bladzi!...

— Ona nie wiedziała, jak znalazła się w studni — ciągnął doktor Misio.

— Jak to? — pytam. Musi pani wiedzieć. Przysięga się, że nie wie. Była noc, poszła posiedzieć przy cielej krowie i potem już tylko pamięta, jak trzymała się pazurami za występ w studni. No i że księżyc świecił, tyle pamiętała.

— I co? — spytała Halinka.

— Nic — po namyśle odpowiedział lekarz. — Ochrzanił mnie, że niepo-

MATKA W STUDNI

Anna Bocian

— A ja Mroczkową spod piątki spotkałem kilkanaście lat temu, jak zaczynałem dyżury w pogotowiu — powiedział po namyśle doktor Misio. — Nieprawdopodobna historia to była. Gdzieś czwartą, piątą rano — wezwano. Jedziemy trochę za Lublin — miejsce od razu można było rozpoznać, bo żarówka, pięćsetka, całe podwórko oświetlała. Dookoła ludzie, rozstępują się przed karetką, zajeżdżamy pod studnię. Patrzę — studnia, pytam się, gdzie chory — w studni. Stoję jak głupi, a ze studni baba woła: ratunku... Echo dopowiada „unku, unku, unku... unku... unku... Doktor Misio, uderzając ręką po wargach, osłagnał efekt echa. — Dookoła studni chodzi facet, pali sporta i powtarza: matka w studni, nikt matki nie chce wyciągnąć, matka w studni, nikt matki nie chce wyciągnąć...

Doktor Misio zamilkł. Powolność była jego specjalnością. Zaczął znowu, gdy Halinka sięgnęła po druty i przerobiła parę oczek.

— Może by kto babkę wyciągnął? — mówię. — A ze studni słyhać: ratunku... a echo „unku, unku, unku, a ten chodzi wkoło z papierosem i narzeka: matka w studni, nikt matki nie chce wyciągnąć... Polecieli po drabinę...

Weszła pani Stefa i z uprzejmym zaciekawieniem osunęła się na krzesło.

— Studniarz powiada, że owszem, podejmie się roboty, tylko pod warunkiem, żeby jego pierwszego ciągnąć. Podniósł się krzyk, że jak to? Ze kobiecia, że nie wypada... A studniarz — jak nie, to nie. Mówię trudno, niech będzie, jak chce, panowie! w tej sytuacji nie ma się o co kłócić. Jak tam studniarz ją ciągnął, to ciągnął, dość, że wyciągnął. Niosa babkę do chałupy, kładą na łóżku. Pytam się, czy jest spirytus. Jest, ale z miodem. Niech będzie z miodem, mówię... I biorę się do nacierania babki. Nagle babka ślada, ręką mnie odpycha i mówi: to pole pod lasem będzie Staska, po strzykach na górze weźmie ktoś tam... I dzieli majatek, jakby miała się zbierać. Ludzie we drzwiach poklekali, cichutko się zrobilo... Myślę, trzeba babkę do szpitala, bo umiera. Przywożem, choć była tylko zmarznięta i potłuczona. Ide następnego dnia na oddział, sam byłem ciekawy, jak wpadła do studni...

— Kroplówka się kończy na trójce — poderwała się Halinka. — Pan doktor zaczeka — poprosiła i zniknęła stukając obcasami. Lekarz nadgryzi ciastko. Zanim odłożył resztkę na talerzyk, była z powrotem.

trzeba kobitkę do szpitala przywożem.

— To rzeczywiście nie — roześmiała się siostra Zofia.

— Duchy — skwitowała pani Stefania. — U mojego dziadka w oborze wisiał na ścianie sznur. Dziadek nie dał go ruszyć, bo diabeł był na nim uwiązany.

— Ale Mroczkowa jakoś do studni wpadła i nic się jej nie stało!

— Teraz ją pan doktor podpyta — wtrąciła się Halinka. — Tylko, że nie jest z nią najlepiej...

— Bo zwlekają do ostatniej chwili... — powiedział doktor Misio ze znużeniem.

— Jeszcze herbatki — zdecydowała siostra Zofia i wyszła z czajnikiem do kuchni, w półmrok uspiętego oddziału.

W szpitalu szybko zapomina się o beztrudnie godzin spędzonych w pokoju siostr. Powrót do łóżka, które w lewym górnym rogu pachnie moczem, jest oczywisty jak chrapanie, pobudka bladym świtem i zimna woda w łazience. Nikt z nikim nie umawiał się co do komfortu w szpitalu, wyposażenia w leki i inne drobiazgi, których brakuje. Choruje się, jak żyje, z wyrzeczeniami.

Dokończenie na str. 8

Naleczowska Kolej Dojazdowa

Miłość do wąskotorówki

Marta Denys

CO o niej wiemy? Nazwa sugerowałaby, iż jest jedną z naleczowskich specjalności, jak naleczowski chleb, woda i mikroklimat. A tu nic z tych rzeczy! Naleczowska Kolej Dojazdowa nie figuruje w karcie uzdrowiskowych atrakcji. Jest natomiast jedną z najpracowniczszych w ogólnopolskiej sieci kolei wąskotorowych. W ciągu roku, na tej nierozległej przecież, 34-kilometrowej trasie: Naleczów — Opole Lubelskie, przewozi około 200 tys. ton towarów. Z jej usług transportowych korzysta 23 odbiorców, także i zagranicznych. Naleczowska Kolej Dojazdowa, choć zdystansowana od lat przez PKS, ma swoich stałych pasażerów. We Wschodniej DOKP naleczowska wąskotorówka nie jest jedynaczką, prócz niej kursują jeszcze: Hrubieszowska Przeworska, Jędrzejowska i Starachowicka — kolejki dojazdowe, na około 500 km lokalnych relacji.

W Polsce sieć wąskotorowych kolei dojazdowych mierzy 2360 km; pierwszeństwo „gęstości” tej sieci przypada okręgowi poznańskiemu (876 km) i „naszej” właśnie, Wschodniej DOKP z siedzibą Zarządu Kolei Dojazdowych w Chełmie. Wprawdzie nie jest to sieć

tak gęsta nawet jak w Mozambiku (7653 km), nie mówiąc już o Japonii, gdzie wąski tor ma podstawowe znaczenie w transporcie szynowym kraju, jednak polska sieć wąskotorowych kolei dojazdowych jest jeszcze ruchliwa i jeszcze przydatna. I wiele wskazuje na to, że tym właśnie wąskim torem — wydawałoby się archaicznym — wjedziemy w XXI wiek.

A tymczasem naleczowska wąskotorówka po cichutku, bocznym peronem, wymyka się ku Opolu Lubelskiemu, odbijając w Karczmiskach dwiema liniami — towarową do Wilkowa i osobowo-towarową do Poniatowej. Na swej wąziutkiej linii — 750 mm prześwitu między szynami — dziarsko poczyna sobie z wszelkimi wzniesieniami i spadkami, gdyż jej przebieg dopuszcza do większych tzw. pochyleń podłużnych, a mniejszych za to — w stosunku do torów „normalnych”, o 1350 mm szerokości — promieni łuków. Taką to właśnie jest ta wąskotorowa jej zaleta. Kolejka nie wymaga więc wysokich nasypów, ani zbyt głębokich przekopów. Nie zajmuje wiele miejsca w terenie, nie szpeci i nie za-

Dokończenie na str. 8—9

Café „Dworcowa”

KAT. III.

Mięta herbata w lepkiej szklance
Jest jak słodkawy smak pożegnań
Brat-tata wódkę w szklankę leje
By łatwiej czas czekania przegnać
W obłąkanym perpetuum mobile
Tram objuczony się przewala
Rdzewieją szyny krzyczą dzieci
I coraz mniej stabilna sala
Patrol krokami mierzy peron
Gwiazdy zawisły w semaforach
Tylko czekania coraz więcej
I coraz puszczej jest na torach
Ktż wreszcie charkot megafonu
zagłuszy wrzaski dzieci:

Opóźniony o wiele lat
pociąg z Nikąd do Nigdzie
wjedzie
być może
na peron trzeci...



Tekst i rysunek Zygmunt Pytlík

1 PAŹDZIERNIKA 1905 r. we wsi Pilaszów koło Łowicza odbył się tajny zjazd nauczycieli Królestwa Polskiego, w którym uczestniczyło około 80 delegatów. Podjął on dwie znamienne uchwały: o utworzeniu Związku Nauczycieli Ludowych oraz o rozpoczęciu od 1 listopada 1905 r. we wszystkich szkołach nauczania w języku polskim. Zjazd ten Związek Nauczycielstwa Polskiego uznał za datę swych narodzin. Równocześnie ze Związkiem Nauczycieli Ludowych w trzech zabiorach zaczęły powstawać inne organizacje oświatowe i wszystkie one, niezależnie od różnych haseł, wysuwały szeroki program powszechnej oświaty dla ludu. Po odzyskaniu niepodległości, na zjeździe kilku z nich (15-16 kwietnia 1919 r. w Warszawie), powołano pierwszą nauczycielską organizację związkową — Związek Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych (ZPNP). Po jego połączeniu się ze Związkiem Zawodowym Nauczycielstwa Polskich Szkół Średnich (na zjeździe w Krakowie 2-7 lipca 1930 r.) doszło ostatecznie do utworzenia powszechnej organizacji związkowej wśród polskiego nauczycielstwa — Związku Nauczycielstwa Polskiego. ZNP przez cały okres międzywojenny dążył do realizacji postępowej polityki oświatowej, jednolitej organizacyjnie i programowo szkoły powszechnej w mieście i na wsi, nauczania i wychowania w duchu demokracji i powszechnej tolerancji. Głoszone hasła niejednokrotnie pozostawały w sprzeczności z realizowaną polityką państwa, co w konsekwencji prowadziło do otwartych konfliktów z organami administracyjnymi.

Nauczycielstwo związkowe Lubelszczyzny przez cały ten okres wnosiło istotny wkład w kształtowanie oblicza ideowego ZNP i było organizatorem walki o postępowy charakter szkolnictwa. Od zarania niepodległości Polski stało się rzecznikiem tzw. szkoły jednolitej. Uznawano wbrew stanowisku państwa, że nie może istnieć taka sytuacja, iż obok szkoły powszechnej również program niższych klas 8-letniego gimnazjum obejmuje zakres ostatnich klas szkoły powszechnej, a dostęp do gimnazjum jest zdecydowanie trudniejszy. W tym duchu organizowano szeroką akcję propagandową wśród społeczeństwa. Na licznych wiecach i zebraniach w Lublinie, w miastach powiatowych i mniejszych ośrodkach poddawano ostrej krytyce istniejący stan rzeczy. Z podobną oceną i krytyką Zarządu Okręgu ZNP spotkała się ustawa z 11 marca 1932 r. (tzw. jedrzejowiczowska, nazwa pochodzi od nazwiska jej twórcy Janusza Jedrzejewicza), która wprowadzała trzy stopnie organizacyjne w szkolnictwie powszechnym. Stosownie do jej postanowień, dzieci uczęszczające do szkół powszechnych I stopnia (a było ich najwięcej i wszystkie na wsi) kończyły swoją edukację na czwartej klasie. Zrozumiałe, że ustawa ta miała jednoznacznie antydemokratyczny charakter, zamykała bowiem drogę do nauki dzieciom chłopskim i spotkała się z negatywnym przyjęciem całego ZNP.

Sprzeciwiano się także ingerencji w sprawy szkoły związków wyznaniowych głównie Kościoła rzymskokatolickiego. Fala ostrej krytyki (na

licznych konferencjach i zebraniach) była powodem represji stosowanych przez administrację szkolną wobec najbardziej czynnych działaczy związkowych — przenoszono ich z urzędu zarówno w obrębie Lubelszczyzny, jak też do innych województw. Postępując w ten sposób, w 1932 r. administracyjnie zdekompletowano prawie całe kierownictwo Zarządu Okręgu — prezesa Czesława Wycecha przeniesiono do Chojnic, Fr. Rusina do Nowego na Pomorzu, F. Popławskiego do Poznania, J. Kanię do Łask w Wielkopolsce. Identyczne przeniesienia stosowano także wobec działaczy powiatowych. Łącznie zmuszono wtedy do opuszczenia Lubelszczyzny około 20 najbardziej zasłużonych działaczy związkowych, a kilkudziesięciu przeniesiono w obrębie województwa lu-

benie w oparciu o kadre postępowych, przedwojennych działaczy. Okręgiem Lubelskim kierował ostatni sprzed wojny prezes Zarządu Okręgu, Władysław Petrykiewicz, a po jego aresztowaniu i śmierci — Wiktor Helman. We władzach okręgowych TON, obok wymienionych, znajdowali się: Mieczysław Chudziński, Antoni Kozłowski, Władysław Sakłowski. Powołano także (najczęściej 3-osobowe) kierownictwa TON we wszystkich powiatach. Na Lubelszczyźnie TON (obok odpowiednich Komisji Oświaty i Kultury Delegatury Rządu na Kraj) przejęła pełną organizację tajnego nauczania. Prowadzono je zarówno w zakresie szkoły powszechnej (douchowania zabronionych przedmiotów w toku zajęć dozwolonych, według przedwojennych programów nauczania), jak szkoły

edu związkowego z okresu międzywojennego — Jan Matysik, Konstanty Ryntfajsz. Stanowisko prezesa, podobnie jak podczas okupacji, objął Wiktor Helman.

12 sierpnia 1944 r. odbyło się zebranie nauczycieli miasta Lublina; wybrano Zarząd Oddziału Grodzkiego ZNP, na którego czele stanął Jerzy Kruszewski. W ciągu trzech miesięcy wznowili swoją działalność na zasadach tymczasowych wszystkie oddziały powiatowe. Na powiatowych zebraniach związkowych nauczycielstwo Lubelszczyzny opowiadało się po stronie ludowego państwa i jednoznacznie deklarowało swoje przystąpienie do odbudowy i uruchomienia szkolnictwa. Zanotowane wtedy sukcesy były dziełem zaangażowania i jednolitej postar-

Związek z tradycją

Jerzy Doroszewski

belskiego. Ostre represje zastosowano wobec całego ZNP w 1937 r.

Po rozpoczęciu nagonki propagandowej, w której oskarżono związek o „tolerowanie i popieranie... idei i tendencji wyraźnie komunistycznych lub z komunizmem graniczących”, 29 września tegoż roku podjęto decyzję o zawieszeniu Zarządu Głównego ZNP. W odpowiedzi na ten akt przemocy związkowcy w całym kraju wystąpili w obronie swojego zarządu. Na Lubelszczyźnie protest stał się powszechny. W Lublinie i we wszystkich miastach powiatowych organizowano wiece protestacyjne, do władz wysłano rezolucje, a w końcu w niektórych powiatach (tukowski, garwoliński) przeprowadzono strajki szkolny. Całością działań i akcji obronnych w województwie lubelskim kierował ostatni prezes Zarządu Okręgu, Władysław Petrykiewicz.

ZNP, niezależnie od podstawowych celów obrony demokracji w szkolnictwie i ochrony interesów swych członków, ogromną wagę przywiązywał do podnoszenia kwalifikacji zawodowych nauczycieli. W 1926 r. powołany został przez Zarząd Okręgu Korespondencyjny Wyższy Kurs Nauczycielski w Lublinie, na którym kształcili się nauczyciele z całego województwa bez odrywania się od pracy. W latach 1929-1939 wydawano własny miesięcznik „Ognisko Nauczycielskie”, w którym obok informacji związkowych zamieszczano opracowania przydatne w praktyce szkolnej. W tym okresie wielu czołowych działaczy ZNP na Lubelszczyźnie z pełnym zaangażowaniem uczestniczyło w pracach PPS, SL oraz ZMW „Wici”, odgrywając w nich wybitną rolę. Obok Czesława Wycecha, czołowego już wtedy działacza SL i ZMW „Wici”, należy tu wymienić F. Popławskiego, F. Rusina, Wł. Daszczyńskiego, J. Kwietnia, Wł. Petrykiewicza.

Lata drugiej wojny światowej były dla szkoły i nauczycielstwa równie tragiczne jak dla całego narodu. Zlikwidowano szkolnictwo średnie ogólnokształcące i wyższe, zdecydowanie obniżono organizacyjny stopień szkół zawodowych i powszechnych, z których programów usunięto historię i geografii Polski oraz utwory najwybitniejszych pisarzy i poetów. Rozpoczęły się represje wobec nauczycieli — aresztowania zbiorowe i indywidualne, egzekucje i zsyłki do obozów koncentracyjnych. W tych trudnych latach nauczycielstwo nie poddało się i mimo nieustannego zagrożenia przystąpiło do tworzenia wielkiego frontu walki z okupantem. Powszechnie znane są przykłady masowego udziału nauczycieli w walce zbrojnej, ale jeszcze powszechniej toczyła się walka na odcinku tajnej oświaty. Jest to bez wątpienia najwspanialsza karta dziejów związkowego ruchu nauczycielskiego.

Inicjatorem i organizatorem nauczania w konspiracji był już od października 1939 r. Związek Nauczycielstwa Polskiego, występujący pod nazwą Tajnej Organizacji Nauczycielskiej (TON). Po powołaniu centralnego pięciosaosobowego kierownictwa TON (Zygmunt Nowicki, Czesław Wycech, Kazimierz Maj, Wacław Tułodziecki, Teofil Wojeński) zaczęło organizować sieć tajnych władz oświatowych w te-

średniej ogólnokształcącej na tajnych kompletach. Na szczególne podkreślenie zasługuje przede wszystkim ta druga forma.

Od 1941 r. TON podjęła decyzję o organizowaniu dla absolwentów szkoły powszechnej kompletów, na których realizowano program I i II klasy gimnazjalnej. W ten sposób, obok znanych ośrodków tajnego szkolnictwa średniego (głównie w miastach powiatowych), powstało wiele punktów tego szkolnictwa w małych miasteczkach, osadach i wsiach m.in. w Krzeszowie, Potoku Górnym, Radzięcinie (pow. Biłgoraj), Lisznie, Stolpiu, Wojsławicach (pow. Chełm), Abramowie, Firleju, Kamionce, Kijanach (pow. Lubartów), Garbowie, Kurowie, Nałęczowie (pow. Puławy), Bełżycach, Bychawie, Milejowie, Piaskach (pow. Lublin),

wy ogółu nauczycieli. W wielu przypadkach ogniska związkowe z własnej inicjatywy przystąpiły do organizowania placówek oświatowych od podstaw, m.in. ognisko ZNP we Włodawie uruchomiło gimnazjum i liceum dla dorosłych, ogniska w Urzędowie i Radzynie — gimnazja, a spółdzielnia oświatowa w Komarówce Podlaskiej powołała gimnazjum, wstępny kurs nauczycielski i samorządowy, uniwersytet ludowy, bibliotekę i czytelnię. Starano się także, na miarę posiadanych możliwości, podejmować pewne kroki na rzecz pomocy całemu szkolnictwu — ognisko ZNP w Białej Podlaskiej już w 1944 r. wydało czytanki do języka polskiego dla klas II, III, IV. Drugim kierunkiem działalności władz związkowych w początkach Polski Ludowej było udzielanie pomocy materialnej całemu nauczycielstwu.

W latach pięćdziesiątych związkowy ruch nauczycielski przechodził niekorzystne zmiany organizacyjne, m.in. zlikwidowano posiadające bogatą tradycję ogniska związkowe. Wszakże zanotowano wtedy znaczne osiągnięcia w zakresie kształcenia kadr pedagogicznych dla dynamicznie rozwijającego się szkolnictwa, upowszechniono samokształcenie. ZNP powszechnie włączył się do akcji likwidacji analfabetyzmu. W życiu wewnątrzzwiązkowym powracano do starych, wypróbowanych form — spotkań na konferencjach rejonowych, które były płaszczyzną wymiany doświadczeń pedagogicznych i związkowych, uczyły współzycia koleżeńskości. Zapoczątkowany w 1956 r. proces demokratyzacji przyczynił się do zdynamizowania całego ZNP. W latach 60-tych i 70-tych zdecydowanie wzbogaciła się związkowa baza materialna. Powstały wtedy m.in. domy nauczycieli w Białej Podlaskiej, Chełmie, Hrubieszowie, Radzynie, Lublinie (z hotelem) oraz w Nałęczowie — sanatorium nauczycielskie. Duża aktywność najszerzych rzesz nauczycieli - związkowców została jednak zdecydowanie zahamowana decyzjami administracyjnymi. Od 1973 r., w miejsce wybieralnych zarządów okręgów, powołano kierowane jednoosobowo oddziały ZG ZNP. Od tego czasu intensywnie postępował proces kryzysu w ZNP, który doprowadził ostatecznie do rozbitcia związkowego ruchu nauczycielskiego.

Ponowna odbudowa ZNP rozpoczęła się w 1983 r. 14-15 października tegoż roku obradował w Warszawie XXXIII zjazd delegatów, który wybrał naczelne władze krajowe, wkrótce dokonano wyborów władz terenowych. Rozpoczęła się szeroka odbudowa ogniw związkowych w placówkach oświatowych. Obecnie do ZNP należy około 60 proc. ogółu zatrudnionych w szkolnictwie. Podobnie jak w całej swojej 80-letniej historii, ZNP jako podstawowe cele w swej działalności stawia sobie obecnie zadanie stuzenia społeczeństwu i nauczycielowi. Aktywnie uczestniczy w ustalaniu polityki oświatowej, dba o interesy socjalno-bytowe nauczycielstwa. Wielką wagę przywiązuje do swoich tradycji i bogatej historii.

Autorzy wierszy są członkami Klubu Literackiego im. Józefa Czeschowskiego przy Zarządzie Okręgu ZNP w Lublinie.

Krystyna Józefa Kozłowska

Przytulę głowę do...
polskiej ziemi
i wrosnę
w trawę powojem
skropi mnie
rosa

Zazielenię się w drzewach
listowiem
przenicnie mnie
słońce

Wejść w łakę
zapachem
przyleć pszczoły
rojem

Wtopię się w piasek
cichą nadzieją

Jerzy Utnik

POWROTY

muszę wracać bocianim lotem
gdzie nadrzeczna wierzba
przy roześmianej łące
stanę radośnie zjednany
z ziemią
w czynie człowieka zwykłego
gdy prostuje plecy
czuciem drogi
by kraina ciepłem swoim
utuliła głowę

Zakrzówku, Załdlikowie (pow. Kraśnik) i wielu innych. W wyniku jednolitej postawy zdecydowanej większości nauczycieli skupionych wokół swojego związku doprowadzono do sytuacji, której zupełnie nie przewidywał okupant. Mimo wprowadzonych zakazów ogromne rzesze dzieci i młodzieży realizowały pełny program szkoły przedwojennej i po wyzwoleniu kontynuowały idalszą, normalną naukę. Nie tylko nie zlikwidowano szkolnictwa średniego, ale nastąpił jego masowy rozwój, przewyższając stan przedwojenny. W małych miasteczkach i osadach, gdzie istniały punkty tajnego nauczania, ukształtowały się pewne tradycje szkolne — w oparciu o nie po wyzwoleniu uruchamiano średnie szkoły ogólnokształcące.

Lipiec 1944 r. i wyzwolenie wschodnich terenów Polski to nowy okres w dziejach narodu i Polski. Szczególnie miejsce przypadło Lubelszczyźnie, kiedy Lublin stał się pierwszą stolicą ludowego państwa. Tutaj koncentrowało się także życie oświatowe i związkowe. Bezpośrednio po odzyskaniu niepodległości nauczycielstwo związkowe na Lubelszczyźnie przystąpiło do reaktywowania i odbudowy swojej organizacji. Jest to o tyle istotne, że centralne kierownictwo TON przez cały ten czas pozostawało w dalszym ciągu w konspiracji i ujawniło się dopiero w lutym 1945 r. Natomiast w Lublinie Zarząd Okręgu ZNP wznowił swoje czynności już w połowie sierpnia 1944 r., a w jego składzie znaleźli się przede wszystkim działacze okręgowego kierownictwa TON: Mieczysław Chudziński, Wiktor Helman, Antoni Kozłowski, Władysław Sakłowski oraz zasłużeni organizatorzy ru-

PIERWSZYM piśmie satyrycznym na wyzwolonych latem 1944 r. polskich terenach był tygodnik „Stańczyk”. Wydawany przez prasowy „koncERN” majora Jerzego Borejszy, za dewizę — uwidocznioną pod tytułem — przyjął stwierdzenie: „Dobry żart tynfa wart”. Żywot „Stańczyka” był niezwykle intensywny gorący, niekonwencjonalny i dlatego też... krótki. W ciągu zaledwie sześciu tygodni istnienia pisma — od 25 września do 7 listopada 1944 r. — ukazało się pięć numerów, po czym „Stańczyk” zniknął na zawsze z firmamentu „stolecznego” Lublina. Z powodów — do dzisiaj nie w pełni dających się wyjaśnić.

Założycielem „Stańczyka” oraz jego redaktorem naczelnym, jak również jednym z głównych piór, był Leon Pasternak. Poeta i satyryk, przybyły do Lublina z Teatrem I Armii oraz żoną, aktorką Ryszardą Hanin. Trzydziestoczteroletni wówczas Pasternak sprawował w teatrze funkcję kierownika literackiego. To on właśnie był autorem słynnej „Oki”, piosenki napisanej dla zorganizowanego przez siebie w 1943 r. w obozie wojskowym w Sielcach Teatru I Dywizji im. Tadeusza Kościuszki. Piosenka, którą śpiewało teraz całe polskie wojsko.

Pasternak, mimo stosunkowo jeszcze młodego wieku, miał już za sobą długą i niełatwą drogę życiową. Urodzony we Lwowie, od dwudziestego pierwszego roku życia związany z Warszawą, był jednym z założycieli, w 1933 r., czasopisma „Lewar”. W dwa lata później debiutował tomikiem poetyckim „Naprzeciw”. Członek Komunistycznej Partii Polski, za działalność polityczną trafił do obozu w Berezie Kartuskiej. Po klęsce wrześniowej znalazł się w rodzinnym Lwowie, gdzie wszedł w skład zespołu redakcyjnego „Czerwonego Sztandaru”, a po napaści Niemiec na Związek Radziecki i ewakuacji w głąb ZSRR został współpracownikiem polskiej redakcji radia w Kujbyszewie i Saratowie.

Jego wojenne wiersze były pisane z pasją, dźwięczne i jędrne, „żołnierskie”, łatwe do zapamiętania, zawsze przesycone wiarą w zwycięstwo. W jednym ze swoich bardziej znanych utworów — „Do widzenia na Unter den Linden”, powstałym w 1941 r., w okresie zwycięskiego „parcia” niemieckich pancernych dywizji w głąb Związku Radzieckiego — Pasternak, sam też w odwrocie, pisał:

Nie pomoże ci Hess,
nie pomoże SS,
ni Wathalla, ani Wotany,
przyjdzie kres i na fest
będziesz bity jak pies,
będziesz bity, a potem kopany. [...]

Zwrócisz wszystko, coś wziął
i nad Wisłą, i Wkrą,
zwrócisz Francji francuskie Lothringen.
I przegrasz Bliźnię
oddasz głowę pod stryk
— do widzenia na Unter den Linden!

Kiedy doszła go wieść o organizowaniu nad Oką polskiej dywizji, zgłosił się natychmiast do wojska. Po przybyciu do Sielc, mianowany „oficerem bez stopnia”, otrzymał rozkaz zorganizowania dywizyjnego teatru. Odtąd nie tylko kierował pierwszymi poczynaniami popularnego „Teatryku pod tęczą” — nazwanego tak, nieoficjalnie, przez żołnierzy — ale zaopatrywał go także w niezliczoną ilość tekstów.

Gdy teatrzyk rozrósł się w Teatr I Armii przeszedł „pod rozkazy” nowego dyrektora i kierownika artystycznego, Władysława Krasnowieckiego. A potem była droga na zachód, by wrzeszcząc, 24 lipca 1944 r., znaleźć się w Lublinie, gdzie Teatr I Armii, prosto „z marszu” zaprezentował na scenie Teatru Miejskiego widowisko pt. „Z pieśnią do kraju”.

Powierzenie Leonowi Pasternakowi przez Borejsz funkcji redaktora naczelnego tygodnika satyrycznego wynikało z wiary, że jest on człowiekiem jedynym do zorganizowania i poprowadzenia tego rodzaju pisma. Wiadomo było, że nada on „Stańczykowi” zdecydowany profil, zgodny ze swoimi przekonaniami politycznymi i społecznymi, odpierając przy tym, zdecydowanie, wszelkie ewentualne próby zmiękczenia „ostrza satyry” swojego pisma. Poza Pasternakiem trzon autorski tygodnika stanowili: Janusz Minkiewicz, Jan Huszcza, Stanisław Jerzy Lec (przebywający głównie w Kozłowie i stamtąd nadsyłający swoje utwory) oraz... przyszły współzałożyciel

„Kabaretu Starszych Panów”, inżynier z wykształcenia, kompozytor z zamiłowania — Jerzy Wasowski. Rysownicy — to Henryk Tomaszewski, Jerzy Zaruba, Ignacy Witz, Kazimierz Baraniecki. Poza tym oczywiście, cała gromada literatów tworzących wówczas specyficzną „kolonię lubelską”, z Arturem Sandauerem na czele.

Jak przystało na artystę i do tego żołnierza, Pasternak nie zwracał sobie głowy szukaniem lokalu dla redakcji, ale po prostu „zalozył kwatery” przy jednym ze stolików w popularnej wówczas kawiarni plastyków „Pod paletą”, w domu przy Krakowskim Przedmieściu 62, gdzie dzisiaj znajduje się znana wszystkim „księgarnia radziecka”. Przyjmował interesantów w każdy czwartek od godziny drugiej do trzeciej po południu, o czym zresztą informowała redakcyjna „stopka”.

„Stańczyk” kosztował 5 zł; format miał nieco większy od połówki dzi-

stronie. (W pierwszym numerze był to kolor seledynowy). Ostatnia lub przedostatnia strona, opatrzona nadtytułem „Skarbnica satyry polskiej”, poświęcona była przedrukami utworów Boya-Zeleńskiego, Jana Lemańskiego, Juliana Tuwima, Benedykta Hertzta, Ignacego Krasickiego; w ostatnim, piątym numerze „Stańczyka”, prezentowano „Fraszki” Cypriana Kamila Norwida. Drugą stronę rozpoczynał zazwyczaj polityczny wiersz Leona Pasternaka. W numerze I był to wiersz „Słuchajcie!” Oto fragment:

Nie chcemy Polski sławojkowej,
nie chcemy nieść miedzianych czoł,
ni przedmajowej, pomajowej,
lecz takiej Polski, żebyś czuł,
że jesteś bracie w swoim domu,
gdzie nikt ci nie śmie dłoń skuć,
gdzie, chociaż nie ma już... Ozonu
— powietrze lepsze jest dla płuc.

Poniżej zamieszczono artykuł podpisany inicjałami J. S. (Jan Sztudayn-

Większość kobiet to istoty głupie. I to je upo...

Wojna humanitarna? Owszem, możliwe: jeśli armata z polskimi będzie wyrzucała opatrunki

W „Kąciku literackim” obrzucali się złośliwymi fraszkami pisarze. „Zaczyn” do tego rodzaju twórczości dał w pierwszym numerze „Stańczyka” Leon Pasternak, ukrywający się pod — — przejrzystym zresztą — kryptonimem „L.p.” (Używał nb. także na łamach pisma pseudonim — „Cyk-cyk”):

NA JULIANA PRZYBOSIA

Chciałbym widzieć tego kłosa,
który pojmie wiersz Przybosa.

NA JERZEGO PUTRAMENTA

Przeżyłbym Putramenta,
jakaż jest ta Putra mętna.

Alieści tak zwany „szeroki czytelnik” najlepiej bawił się obficie serwowany-

Z teki „Stańczyka”

Mirosław Derecki

siejszej „Kamery”, objętość — osiem stron. Pierwszy numer został wydrukowany przez Lubelskie Zakłady Graficzne przy ul. Zamojskiej, następne — już w drukarni J. Pietrzykowskiego przy ul. Kościuszki 4. Mimo że pismo reklamowało się jako „wychodzące co tydzień”, nigdy nie udało mu się uchwycić ściśle tygodniowego rytmu.

Na łamach „Stańczyka” uprawiano ostrą satyrę polityczną, godząc w przeciwników politycznych, ale i nie oszczędzając przyjaciół. Także — najwyższych władz. Kpiono z Hitlera i z wciąż „cofających się planowo” wojsk niemieckich, wiele miejsca poświęcano okupacyjnej satyrze, „podziemnemu” — jeszcze do niedawna — humorowi, ale „chłostano biczem satyry” także głupie lub niegodne postępowanie ludzi, którzy byli potencjalnymi czytelnikami „Stańczyka”. Wreszcie na łamach pisma znajdowały odbicie „swary” miejscowego środowiska artystycznego.

Te pięć numerów „Stańczyka” sprzed ponad czterdziestu lat to dziś prawdziwa rzadkość biblioteczna. Nawet w Lublinie o nie trudno. Biblioteka im. H. Łopacińskiego ma zaledwie jeden egzemplarz pierwszego numeru, jeden komplet tygodnika znajduje się w Bibliotece UMCS. Ten ostatni jest zresztą zbiorem całościowo unikalnym: dwa z pięciu numerów (nr 3 i nr 5) to tzw. „odbitek kolumnowe” — próbne odbitki poszczególnych stron przygotowywanego do druku numeru dla potrzeb redakcji technicznej, korekty i cenzury. Prawdziwy rarytas! Można na tych stronach, zobaczyć adnotacje czynione ręką Jerzego Borejszy, można przeczytać teksty, które nigdy nie ujrzały światła dziennego, bo zostały skreślone przed podpisaniem numeru do druku i zastąpione innymi. Kto dokonał tych skreśleń: redaktor naczelny, cenzor, sam Borejsza?

Pierwszy numer „Stańczyka”, który ukazał się z datą 25 września 1944 r., otwierał całostronicowy rysunek Henryka Tomaszewskiego przedstawiający czterech starszych panów siedzących — trochę sennie — na ławce w przedpokoju przed dwójgłębem drzwiami wiodących do gabinetów z tabliczkami: „Mr. Eden” oraz — „Mr. Churchill”. W reku jednego z oczekujących na przyjęcie widniała duża kartka ze słowami: „Komunikat walczącej Warszawy”. Pod rysunkiem napis grubą czcionką: „Rząd Mikołaj-czeka”.

Zasadą wszystkich numerów „Stańczyka” był taki właśnie satyryczny, całostronicowy rysunek umieszczony na kolorowym poddruku, na pierwszej

stronie. (W pierwszym numerze był to kolor seledynowy). Ostatnia lub przedostatnia strona, opatrzona nadtytułem „Skarbnica satyry polskiej”, poświęcona była przedrukami utworów Boya-Zeleńskiego, Jana Lemańskiego, Juliana Tuwima, Benedykta Hertzta, Ignacego Krasickiego; w ostatnim, piątym numerze „Stańczyka”, prezentowano „Fraszki” Cypriana Kamila Norwida. Drugą stronę rozpoczynał zazwyczaj polityczny wiersz Leona Pasternaka. W numerze I był to wiersz „Słuchajcie!” Oto fragment:

Mówią, że wiceprzewodzący PKWN
Andrzej Witos, wychodząc ze zjazdu młodzieży chłopskiej w Lublinie, powiedział:
Veni, vidi, vici.

Mówią, że Resort Kultury i Sztuki
PKWN ma zamiar powołać do życia Ośrodek Krzywienia Kultury i Sztuki.

Dla uczczenia rocznicy sojuszu japońsko-niemieckiego kilka miast w Niemczech otrzymało japońskie nazwy. Hamburg: Sama-jama. Brema: Co-za-jama. Kilonia: Tu-jama-tam-jama.

Tę stałą rubrykę „Stańczyka” podpisywał J. Boss (Jerzy Bossak?).

Zbigniew Piotrowski pokpiwał siebie w wierszu „Nieporządku” z niektórych interesantów zawracających w blahych sprawach głowę urzędnikom ministerialnych resortów:

W ogromnym gmachu PKWN
raz zdarzył się wypadek ten,
że pcha się baba boso
do tobywatela Witosza.

Urzędnik biorąc dowód
pyta się: jaki powód?
A baba jak nie urządziła:
„To rząd ludowy?! Właśnie...
...a mnie święta sąsiada
wciągnę kartofle wyjada!”

Urzędnik więc: — Do gminy...
a baba: „Takie syny...”

toż pizdecie w gazecie,
że rząd ludowy przecia!”

I donosnym wciągnę głosem:
„Cheć się wdziedz z Witosem!”

Z nim to muszę pogadać
o tej święci sąsiada.”

Hej, panowie w gazecie,
wyttumaczcie kobiecie,

że święta nie ma racji
a baba demokracji.

że w takim wypadku, jak ten,
milsza — nie PKWN.

Jerzy Wasowski był autorem rubryki „Aforyzmy”, które przypominały trochę późniejsze „Myśli nieuczestane” Stanisława Jerzego Leca. (Ten ostatni — zamieszczał tymczasem, po sąsiedztwie z Wasowskim, wiersz „Do SS — synów”). Rubryka potencjalnego „starszego pana” była najbardziej „kulturalna” i najbardziej „elegancka” w całym „Stańczyku”:

Ludzie mówią tyle prawdy, ile potrzeba im na to, żeby im wierzone, kiedy kłamliwi.
Jeśli z rozmów wyłączone głupich, pijanych i chorych umysłowo, popada się w osamotnienie.

mi mu kawałami i dowcipami „okupacyjnymi”, często zresztą nie najwyższej jakości. Na przykład:

Na wystawie u Rozmusa w Lublinie leżą ciastka. Ludzie — z ulicy przyglądają się. Baba, która przechodzi obok:
— Myślicie, że to ciastka dla ludzi?
— A dla kogo, kobieto?
— Wiadomo, że dla Niemców.

Numer drugi „Stańczyka” szczególnie krytykował polityków emigracyjnych, przedstawicieli rządu londyńskiego. Na pierwszej stronie — skarykaturowany przez Zarubę — generał Sosnkowski, zanurzając się w falach Tamizy, wyciągał ręce, w geście wołania o pomoc, do stojącego na moście jegomością we fraku i cylindrze; Pasternak grzmiał na drugiej stronie, w „Bruku emigracji”:

Spójrzcie — jak się za granicą taki typ panoszy,
jak się po stolicach emigracji szastał
Śmigły błęgacz z żalostnej zaleszczykłej szosy
— sławojkowy działacz, znany mistrz w konszachtach.

Równocześnie „zaskoczył”, zainicjowany przez Pasternaka, „Kącik literacki”. Artur Sandauer dołożył „Nagrobek” Adamowi Ważykowi:

Tu śpi grzesznik Adam Ważyk,
co się awangardy zarzekł.

Poparł go Józef Hen:

Sądząc z wierszy, tuszy, twarży,
to pan Adam Niemietważyk.

Tymczasem jednak nad „Stańczykiem” powoli zaczynały się gromadzić ciemne chmury. Oto w trzecim numerze (tym: odbitym jako „szcztotka” próbna) interweniował czyjś bezpardonowy ołówek. Wyleciał cały — dość, nawiasem mówiąc, mało dowcipny i przydługi — kawał o pojedynku Hitlera z Churchillem. Ale, przede wszystkim, dwie złośliwe fraszki Jana Sztudayngera:

NA PKWN

Gdyby mógł dziś dojść do głosu
Cośby o nim rzekł Kadłubek?
„Ze za mało tam jest osób
A za dużo jest Osubek”.

Oraz:

KOCIA MUZYKA

Nie należy tragizować spraw obydwu polskich rządów
I należy rzecz tę całą potraktować bez przesądów.
Pytał mnie, co o tym sądzę, pewien zany polski kmiotek,
Rzekłem: „To rodzinne spory, tam jest Kot,
a tu jest Kotek.”

(Chodziło o prof. Kota z Londynu i Stanisława Kotka-Agroszewskiego, kierownika resortu administracji publicznej PKWN — przyp. M.D.)
Cała kakaofonia nasza z sedna sprawy tej wynika.

Gdzie dwa koty są w niezgodzie, tak i kocia jest muzyka”.
Dzisiaj, po czterdziestu latach, mo-

żemy patrzeć na te fraszki z przymrużeniem oka. Ale wówczas?

Przy okazji oberwał rykoszetem także młody lubelski poeta Zygmunt Mikulski, a właściwie — jego trzywrotkowy wierszyk satyryczny — „Niebezpieczeństwa dezorganizacji”:

Chciałbym w kilku prostych rzeczach
stwierdzić istniejący stan:
demokracji król zaprzecza,
więc i... Aleksander Jan.
(Chodziło o A.J.Króla — M. D.)

Jak pogodzić? Rzecz nie łatwa,
Nikt nie okpi mnie wykretem.
Zresztą ten, co wszystko gmatwa
jest społecznym putra-mentem.

Dzięki obłęd mnie przynika,
jakbym trutkę połknął z bułką,
Huszczał puszczaj, bo mam bzika,
bo już kręcę się w mi-kulko.

Tego „społecznego męta” nie mógł widać, już zdzierzyć trzęsący coraz silniejszą kulturą Jerzy Putrament i druga zwrotka wiersza poszła nieodwołalnie „pod nóż”.

Jan Huszcza narażał się w tym samym numerze wyrastającym coraz gęściej z kulturalno-literackiego „podglebia” różnym „bojownikom” o kształt nowej, socjalistycznej kultury oraz „proletariackiej” krytyki literackiej, która powinna się dystansować do

zadeedykowana — „P.T. Współpracownik” — zapisana była chyba głównie z myślą o ostatnim dwuwierszu...

Gdy zimna noc za oknem szeregą,
satyryk do modlitwy klęka:

o PAL, o biurokrację,
o bagno i stagnację,

o jakiegokolwiek Kadena,
o pismo p.t. „Kamena”,

o święto konia i lasu,
o trochę wolnego „Czasu”,

o powrót Sławoja szczęśliwy,
o podział dóbr niesprawiedliwy,

o „Tungstram”, o „Ogram” żarówki,
i teatralne popołudniówki,

o PAT-a wieczorem i z rana,
tudzież o mistrza Klepurę Jana,

o ozonowy balagan,
satyryk gorąco błaga.

Daj nam, Boże ludowy,
niech będzie satyryk — antypaństwowy!

Otóż to! Jak widać, zarówno z satyrą „normalną” jak i z tą: „antypaństwową” albo, jak to chyba raczej rozumiał Huszcza — p o n a d p a ń s t w o w ą, satyrą mierzącą zjadliwym żądłem w każdego, kto na to zasłużył (niezależnie od urzędu i zajmowanego w nim stanowiska) — nie było tak łatwo...

Grać w koniki?

Henryk Węclawski

MY, Polacy, mamy miłość do konia we krwi. Już Zagłoba o tym wiedział. I potrafił to wyjaśnić. Teraz konie biegają dla sportu. I dla końskiego zdrowia, i dla ludzkiej uciechy. Biegają tak od półtora wieku, a nawet i dłużej. Już za króla Stasia bowiem klacz Rzewuskiego zloła skórę pieszczosze angielskiego posła. I to na zwykłej drodze! A Anglia, wiadomo — ojczyzna wyścigowego konia. W Lublinie biegają trochę krócej. A w istocie nie biegają wcale, ale ich bieganie znacznie się przybliżyło.

Można obstawić zwyczajnie (pierwszy koń w gonitwie) i po francusku (koń pierwszy lub drugi), porządkowo (dwa konie, pierwszy i drugi) i łącznie (pierwsze konie w trzech kolejnych gonitwach). Tak można obstawiać nawet na dzień przed wyścigiem. A grających jest wielu. Personalnie trzeba kształcić, jak i co z gonitwami, a gracze już wiedzą. Znają konie i stajnie, trenerów i jeźdźców. Niekiedy bowiem obstawiają od dawna. Od czasu własnych lubelskich koni. Tych sprzed wojny (tor przeniesiony z Łucka) i tych z tuż po. Bo i Służewiec tutaj odradzał się po wojnie.

Jest ekspozycja lubelska ponoć najładniejsza w kraju. Wszystkie pachnie tu farbą i nowym. Z blach kontenerowych stanął pawilon. Listwy są na zielono. Jest już fontanna i ławki, i wiele koszy na śmieci. Będzie barek i trunki. Dobrze i drogie. Tylko tak można wypić za sukces lub za porażkę. A cena załatwi umiar. W pawilonie twórczy rejsach. Wykańcza się jeszcze to i doprowadza tamto. Telefon dzwoni raz za razem, a kierownik oddziału, inż. Jerzy Chrzanowski, związa się jak w ukropie. Już od pierwszych chwil wiem, że pasjonat. Taki nie odpuści.

A centrala czuwa. Pani ze Służewca sprawdza, czy wszystko gra. Jest i telefon ze stolicy. Ta ekspozycja to kochane dziecko. Może dlatego, że najmłodsze.

„Pomysł zrodził się przed dwoma laty — mówi kierownik. — Dlaczego Lublin? Trochę tradycja, a trochę luka na wyścigowej mapie Polski. Służewiec i Sopot, Wrocław, Gdańsk i Koszalin, i Poznań, który odpadł. Taki Poznań!”

Lublin nie odpadnie. Kierownik nie da. „To płomień, który nie maleje — mówi — tylko się rozpała”. Zrobiono tu kawał dobrej roboty. Na szarej ulicy Buczka jest trochę jaśniej. Duża flaga z podkową, obok niej narodowa, i schludne zaplecze.

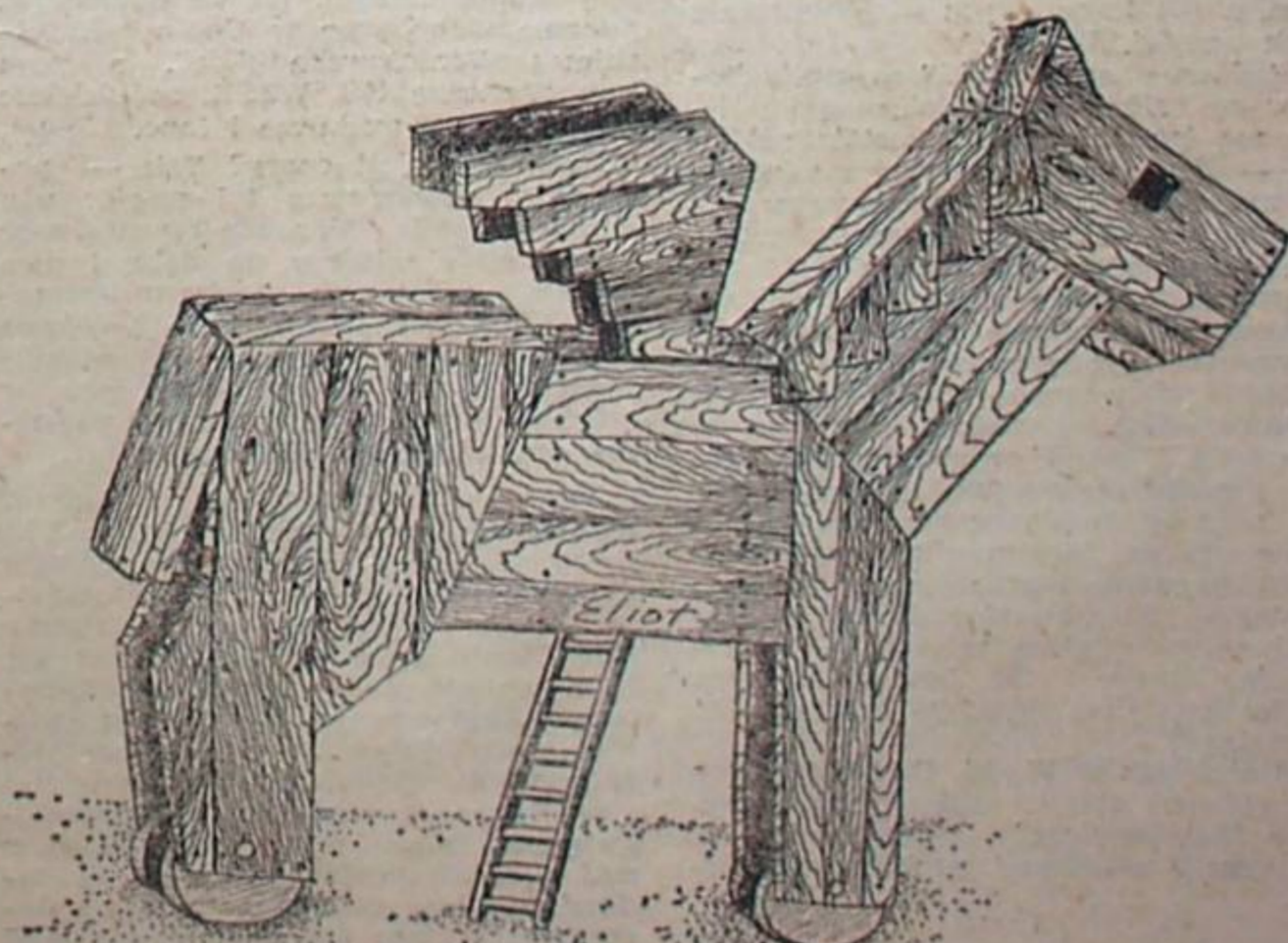
W przeddzień przychodzą programy gonitw. Jest z reguły sześć lub osiem gonitw. A w dniu, kiedy biegają — spokój, skupienie i rozmowy szepcąc. I nagle poderwanie, gdy zadzwoni telefon, aby podać wynik. Biegają wtedy pod szyby kierowniczego pokoju, byle dłużej nie czekać. Wielka radość i ręce uniesione w górę. Radość, ale i smutki, i ponowny nawrót do kasy. Rządziej na zewnątrz i do domu. Obstawianie skończone na kwadrans przed kolejną gonitwą. A to naprawdę wciąga. To hazard? Trochę tak. Ale i hobby. Pasja, rozrywka i zabawa. Jak każda dobra gra. Są grający ostrożnie i ci, co na ostro. Ale regulamin i minister Nieckarz dbają, by wszystko było w normie. To nie ruletka w Las Vegas. Ale 20 tysięcy można za „stówkę” szarpnąć. Może i więcej. Obroty totka rosną. Rosną i wygrane. Jedno ma się do drugiego wprost proporcjonalnie. Z perspektywy krajowej, rzecz jasna. W Lublinie, w pierwszą sobotę — 130 tysięcy, w niedzielę — 280, a w środę — 200. I wtedy Górnik grał akurat z Bayernem. Nawet Motor też ich nie przebiję. „Tam jest dziewięćdziesiąt minut zabawy, a u mnie sześć godzin — mówi kierownik. — Można obejrzeć mecz i jeszcze tu wrócić”. Warszawa liczyła na początek na 40 tysięcy złotych obrotu.

Są tu młodzi i starzy. Dużo jednak młodych. Nawet małolaty. Ale tych odsyłają do domu. „Przyjdę więc ze starymi” — mówią. Za wstęp do obiektu płaci się 10 złotych. Najtańszy bilet kosztuje 50. Można obstawiać na tę wielokrotność. Program przedstawia konie, ich rodowody i kariery, stadniny, stajnie, trenerów i dżokejów. Regulamin wyjaśnia wszystko. To wcale nietrudne. Może w przyszłości monitory pokażą gonitwę. A może wcześniej zrelacjonuje ją radio. Jak na filmie „Ządło”. Na razie wyniki i zmiany w składach ukazują się na tablicach. I rozgłasza je głośnik. To najciekawsza chwila. Nie ma tużurków i cylindrów, ani sukien do ziemi. Tory już przestały być pokazem mody. Takie czasy. A coś dopiero kolektura. Normalne ubrania, garnitury i swetry. Są lublinianie i goście. Dziewczyny, chłopcy, kobiety i mężczyźni. Nie ma tylko tych spod piwnej budki. I dobrze. I ich tu nie będzie. Oni tak się nie bawią. Zadbaj też o to kierownik, własna porządkowa służba, a i sami gracze.

Inżynier ma szerokie plany i pasję. Chciałby mieć tu placówkę, jakiś punkt kulturalnej zabawy, jakieś centrum dobrej, zdrowej rozrywki. Mamy totków i lotków, ekspres i dużo - malych. Ale ten tok jest inny. To jakby tenis totków. Bo my, Polacy, mamy miłość do koni we krwi.

Nie wiem, czego życzy się koniom i jeźdźcom. Wiem, czego totalizatorowi. Dużych obrotów. A graczom? Wygranych i dobrej zabawy. Takiej, jak dotąd — z kulturą. Bo taki kulturalny totek potrzebny jest miastu, i odrobina uciechy — także.

Wciąż jeszcze, bowiem, konia z rżędem za sympatyczną rozrywkę, i do tego z dreszczykiem!



Rys. Jerzy Lipiec

Kącik literacki

NIEBEZPIECZEŃSTWA DEZORIENTACJI

Chciałbym w kilku prostych rzeczach
stwierdzić istniejący stan:
demokracji król zaprzecza,
więc i... Aleksander Jan.

Jak pogodzić? Rzecz nie łatwa,
Nikt nie okpi mnie wykretem.
Zresztą ten, co wszystko gmatwa
jest społecznym putra-mentem.

Dzięki obłęd mnie przynika,
jakbym trutkę połknął z bułką,
Huszczał puszczaj, bo mam bzika,
bo już kręcę się w mi-kulko.

Zygmunt Mikulski.

Repr. Andrzej Polakowski

„burżuazyjnych” autorów. Ironizował z pasją w swych „Wydawnictwach nadesłanych”:

Prus, Bolesław: „Placówka”. Powieść. Autor, nie zatusze udolnie, opowiada o ciężkiej doli chłopca polskiego, obywatela Słimaka. Z jednej strony kolonizator niemiecki, z drugiej sprzedający (bo w końcu — sprzedany Niemcom) dwór. A przeciw nim zahukany Słimak który nie słyszał nic o Stronictwie Ludowym, spódnocznosci i sztucznych nawozach który nie przeczuwa — dzięki kapryśności pisarzkemu p. Prusa — czym może się stać dla niego reforma rolna.

Powieść, nie chcemy twierdzić, że świadomie, ale jednak oderwana od rzeczywistości. [...]

Mickiewicz, Adam: „Pan Tadeusz”. Szlachcko-ziemiańska opowieść wierszem, w której ani słowa nie znajdziesz o ciężkiej doli chłopca i robotnika polskiego. A przeciw światła lepsza przyszłość.

Autor apoteozuje kulturerę, czyli zaściankowść (zaścianek Dobrzyńskich!). Opis puszczy i polowania przypomina polowanie w puszczy białowieskiej z udziałem Goeringa. W opisie czai się tęsknota do tego rodzaju polowań.

Jedyny bodajże dodatni typ, to Tellmena, która swymi aluzjami do burka i do Petersburga symbolizuje — w nikłym zresztą stopniu — przyjaźń polsko-rosyjską.

W czasach szalonego rozwoju techniki — czolgi, radio, samoloty — technika poetycka Mickiewicza traci lamuzem.

Przypomnieć także należy, że słowa „Pan Tadeusz” są anachronizmem. Uczciwiej byłoby nazywać poemat „Obywatel Tadeusz”. Ale, wnosząc na ducha utworu, wątpimy, czy autora stać na taką uczciwość. [...]

„Stańczyk” zyskiwał popularność z numeru na numer, cieszył się coraz większą poczytnością, zgłaszali się kolejni autorzy (m.in. w n-rze piątym Kazimierz Andrzej Jaworski drukował swój przekład „Kobiety” Henryka Heinego); nadsyłało utwory i spoza Lublina.

Ale „coś” zaczynało dziać się wokół „Stańczyka”. Coś niepokojącego. I „Stańczyk” postanowił wyłożyć swoje racje, odwołując się do opinii publicznej. Czynił to, oczywiście, na swój własny, specyficzny sposób, przy pomocy humoru i ciętego rymu. „Modlitwa satyryka” Jana Huszczy

„Stańczyk” padł ostatecznie na bronionym przez siebie szańcu satyry. Numer piąty tygodnika, z 7 listopada 1944 r. był zarazem ostatnim numerem pierwszego — po wyzwoleniu — pisma satyrycznego.

Mówiło się potem, że swymi docinkami „Stańczyk” zbyt mocno naraził się różnym „wysoko postawionym” czynnikom, wykazując zbyt wiele „tupetu” i zbyt mało zachowując „należnego dystansu”. Ale dziś — po wielu latach — można by sobie także spróbować zadać pytanie, czy pod pewnymi względami „Stańczyk” wówczas stanowczo nie „przeholował”? Czy — wymieniając w jednym ze swych satyrycznych tekstów — jednym tchem Hitlera, Himmlera, Goeringa, Mussoliniego, Laval, Petaina, Franka, Sosnkowskiego (!), Quisslinga, albo: zamieszczając rysunek Zaruby przedstawiający kata Warszawy, generała von dem Bacha i generała Bora-Komorowskiego, padających sobie (wśród pijackiej uczy) w objęcia pod portretem Hitlera, i podpisany: „Bachkanalia” — czy wówczas nie robił, bezwiednie, tzw. „złej roboty”? Dotykając zbyt brutalnie spraw zbyt jeszcze bolesnych dla narodu? Oczywiście, tak zwana stro-na przeciwna także nie folgowała sobie w obelgach i inwektywach wobec „lubelskiego przeciwnika” politycznego. Ale też PKWN dążył do zgody narodowej, do pojednania...

Lecz może wcale nie o to chodziło? I jak to tam było naprawdę ze „Stańczykiem” nigdy się już nie dowiemy.

Pewne jest tylko to, że „Stańczyk” zakończył swój krótki, ale burzliwy żywot w Lublinie, w dniu 7 listopada 1944 r. Odrodził się potem, w pewnym sensie, w warszawskich „Szpilkach”. No, ale „Szpilki” to już inna historia... W tym roku święcą właśnie swoje 50-lecie! Gratulacje!

MATKA W STUDNI

Dokończenie ze str. 3

— Radość o poranku — zawołała siostra o godzinie szóstej rano, pobrękując termometrami. Zakreśliła się ze śmiechem i znikła. Rozpoczął się nowy dzień spóźnionej troskliwości o ciało; histerycznego podsłuchiwania serca, wczuwania się w wątrobę — strachu. Cały wspaniały świat zaczynał się i kończył za oknem.

Chorzy zaczęli roić się w łóżkach i powoli wychodzić na korytarz. Przechwalali się bólami, dziećmi i losowymi przypadkami. Zapadali się w siebie jak w kryształowe wazony, godnie obnosząc cierpienie, szamotali się schwytni przez konieczność i rozpaczali, wreszcie strolili żarty.

— Bo ja, panie, po dobrym weselu potrafiłem polkę wypierdzić — zwierzał się dziadunio. — Teraz, znaczy, nie jestem taki muzykalny.

— A mój wnuk tak ze słuchu każdą melodię powtórzy — łapczywie zaciągał się papierosem sąsiad. — Przyjdzie dzisiaj, kompot przyniesie.

— Może synowa przyjdzie — zamysłili się dziadunio. — Znaczą do łóżeczka pójde. Synowa na bufecie siedzi, podrzuci może kawę...

Od południa ciągnął błyszczącym korytarzem sznur odwiedzających. Stąpali ostrożnie, nieśli pełne siatki, rozglądali się dookoła. W niedzielę było ich trzy razy więcej. Biwakowali w płaszczach wokół łóżek, przy stolikach zasiadali wianuszkami i szepotali sobie coś do uszu, a dzieci samopas szalały na wózkach inwalidzkich. Przy łóżku pani Mroczkowej siedziała jakaś kobieta i stał chłopak. Później nadeszło większe towarzystwo.

Siostra Zofia przyniosła tacę z zasłuzkami, więc panowie opuścili salę, rozmawiając o częściach motocykla.

— Nie siedźcie, panowie, długo — powiedziała mimochodem, a gdy dopadł papierosa, zatrzymała się przy nich.

— Z tą studnią to prawda? — zapytała.

— No... prawda — odpowiedzieli.

— A jak wpadła?

— Pan Bóg raczy wiedzieć, sio-



— Niech się pan obudzi, przyniosłam tabletki na sen.

Rys. Zbigniew Cieluch

strzycku. Wiadro w każdym razie wisiło. Nikt jej nie wpechał...

Siostra pokręciła głową i zniknęła w dyżurce.

Wieczorem w pokoiku siostr było zimno, bo zachodni wiatr wdzierał się w każdą szparę, a jedyny grzejnik przeniesiono do sali niechodzących.

— Mroczkowa ciągle się dusi — powiedziała siostra Irena, wielka i ciepła jak niedźwiedzica. Wzięła na chwilę obdarty magazyn mód. — Nie chciałabym umierać jak ona — dodała, przekładając w inne miejsce katalog radości próżności.

— Ani gnąć żywcem jak ta, ta... — salowa nie mogła sobie przypomnieć

Wszystkie siostry miały małą, łagodną i traktowały chorych niemal z boską wyrozumiałością. Nawet gdy nie było to konieczne. Był to jedyny luksus, na który zawsze mogły liczyć. Ale gdy się ochłodziło, siostry siedziały skurczone, dopinały serdaci i starały się jak najradziej wychodzić z pokoiku.

W szpitalu ma się wrażenie, że choroba wysysa czas. Każdy pobyt doprowadza do odkrywczą myśli, że gdy siedział pod wątpliwą czystością koldra — inni pławia się w blaskach życia. Im radziej na to wpadasz — szybciej zdrowiejesz. Ale myślenie ku zdrowiu nie jest specjalnością chorych. Kogo coś boli, czuje się bogatszy, lepszy — coś wreszcie ma. Jeżeli już nie może w życiu zdobyć — ma przynajmniej współczucie. I przy tym przeważnie pozostaje, pogrążając się w bezradnym smutku.

Radosne drobinki świata przynosiły zazwyczaj siostry. Z pozoru bez znaczenia opowieści o zwirowanym psie i sponiewieranych butach — były jak łęczowe bańki, rozrywające monotonię zastrzyków i pigulek, kropliówek i czegoś tam jeszcze. Hoże siostry w każdej chwili konkurowały z chorobą błyskiem oka, uśmiechem, nogą. Pomijając zasługi medycyny — leczyły sposobem bycia.

Gdy nocą zniknęły z łazienek parawany, a rankiem siostry zachowywały się, jak gdyby nic się nie stało — było pewne, że ktoś ubył. Tak niepostrzeżenie zniknęła pani Mroczkowa.

— Kto wołał całą noc: „puście mnie”? — spytała przy śniadaniu dziewczyna o przegranym spojrzeniu, lecz nikt jej nie odpowiedział.

— O szóstej rano jeszcze wołała — dorzuciła kobieta z wielką bułką ociekającą miodem.

— Dlaczego wołała? — spytała dziewczyna, ale znowu nikt się nie odezwał.

— Ona była w malignie — szepnęła po chwili kobieta z bułką.

— Kto?

— Mroczkowa z piątki.

Siostry rozdawały leki i uśmiechały się jak zwykle. Salowe wynosiły tłumoki brudnej bielizny. Zaaferowani lekarze biegali, stukając drewniakami. Wszyscy mieli do załatwienia wiele spraw, które z perspektywy horyzontalnej wydawały się mało realne. Pewnie dlatego, że choroba jest stanem wysoce niepojętym.

Anna Bocian

Miłość do wąskotorówki

Dokończenie ze str. 3

niezyszcza krajobrazu i środowiska, a wprost przeciwnie, mogłaby być jego kolorystycznym uzupełnieniem. Niestety, od dwudziestu lat nie produkuje się już w Polsce ani wagonów dla wąskotorowych linii, ani parowozów, ani szyn, a dla kursujących — chronicznie brak części. Więc?

Niedawne „samowarki” zastąpiły dieslowskie „Rumuny”. Należęzowska linia ma ich dziewięć. Pozostałe zaś linie — 32. Są to lokomotywy spalinowe, o mocy 450 KM produkowane w Zakładach im. 29 Sierpnia w Bukareszcie. Stamtąd też obiecanych jest 12 wagonów osobowych. Przewóz zaś towarowy wspomagają wózki transportowe, na które przenosi się w całości „normalne” wagony, przeważnie 40-tonowe. Większe, 60-tki, nie zawsze mogą się „wpisać” w profil linii. Trzeba więc przeladować z nich towar na wagony wąskotorowe. Oczywiście, dokonuje się tego mechanicznie, bądź też przeważnie mechanicznie. Z jednej strony — duże to udogodnienie; z drugiej — nieumyślna zresztą — dewastacja taboru, i tak już wysłużonego i „łatanego” na wszelkie gospodarskie sposoby.

Oto Należęzów Wąski. Oddalony nieco od głównej stacji. Takie „należęzowskie Malaszewice” żyjące własnym rytmem i własnymi problemami. Tu-

ją odbiera się wagony „normalne”, sadza je na transportery lub przeladunkuje. Na wąskie barki tej kolejki nakłada się więc węgiel, kamień, blachy (z Austrii i Czechosłowacji), nawozy i cement, materiały budowlane, pasze, opakowania... Asortyment zaopatrujący wspomnianych już 23 odbiorców, głównie Cukrownię w Opolu Lubelskim i Poniatowską „Edę”, a poza tym okoliczne GS, WZSR, spółdzielnie mleczarskie, ogrodnicze i inne.

Ruch więc jest spory? Tak — potwierdza zawiadowca tej stacji, pan Ryszard Danik. Odprawia się stąd pięć towarowych składów na dobę i dwa pociągi „mieszane”: osobowo-towarowe. NKD jest jedyną linią kolejową na tej trasie, wyperaną co prawda przez transport samochodowy, lecz w sytuacji kryzysu paliwowego poważnie ten transport odciążająca.

Mały, czerwono-czarny „Rumun” manewruje na torach. W kolejkę do przeniesienia na transportery czekają cysterny firmy „Metzger” ze Stuttgartu. To po opolską melasę — objaśnia pan Danik. A za chwilę martwi się, bo z końcem roku odchodzi na emeryturę jeden z dwóch operatorów suwnicy, pan Zygmunt Lambrecht, doświadczony, długoletni pracownik tej stacji. Poza suwnicowym stacją obsługują trzej pracownicy przeladunkowi, a nad ruchem czuwają — prócz zawiadowcy — trzy miłe i ładne panie dyżurne (pracujące już w kolejniectwie od 20 bez mała lat Halina Trocicheb i Danuta Danik oraz ich młodsza kole-

żanka, Małgorzata Nowaczek).

Czy mieszkańcy tych okolic lubią NKD?

— Wie pani — podejmuje to pytanie pan Danik — kiedy była ta pamiętna zima 1979 roku kolejka stanęła na dwa tygodnie. Śnieg zasypał wykopy i nawet plug nie dał rady go przepchać. Wtedy pracownicy z okolicznych zakładów i mieszkańcy pomogli przetrzeć szlak dla tej „swojej” należęzowskiej ciuchci.

— Czy przetrzymywane są wagony?

— Nie, klienty są bez zarzutu, subordynowani — podkreśla pan Danik. Stacyjka w Wąwolnicy przykucała tak jakoś niżej szosy i niżej skarp. W krzakach bzu prawie jej nie widać. Nakryła się dachem... chyba drzemie? Choć obok ruch niebywały. Podjeżdżają furmanki, rośnie przyma buraków, lecz nie kolejka powiezie je do cukrowni. Już od 15 co najmniej lat ich nie woz. Załatwia to transport samochodowy. Zresztą nie miałaby czym ich wozić. Wagoniki kiepsciutkie i desek na remont brak.

— A zresztą — mówię zagadnięty przy wyładunku buraków, pan Witold Molenda — może i lepiej, że samochodami? Dawniej, kiedy nie było takiej jak obecnie komunikacji, kolejka to była wielka rzecz. Wozila i ludzi, i kamień i wtyłki. I „samowarki” były niezłe, choć ciasne. Ot, zagrzal się w nich maszynista i kartofli upiekł. W czasie okupacji partyzanci często robili „skok” na kolejkę. Szedł tedy dla Niemców węgiel, cukier, prowin i broń. Kiedy kolejka podchodziła pod górę, do akcji przystępowali „leśni”.

Pan Molenda był w oddziale — jak mówi — „Czarnego”, który koncentrował się w okolicach Żyrzyna. Nie, nikt już z kolegów - partyzantów nie żyje. Czterdzięci lat pan Molenda był prezesem Spółdzielni Pracy w Klementowicach, mieszka w Marczkach. Piekroć kolejkę „coś” się przydarzyło, biegł jej na pomoc razem z zięciem.

A zdarzały się i groźne wypadki, zwłaszcza kiedy rozpędzona z górki kolejka gnała aż do wyskoczenia z szyn, aż do zapalenia się lokomotywy i maszynistów, aż do zderzenia — tak wspomina pan Molenda. Widły śmigają pod jego energicznym ruchem i kolejna porcja buraków powiększa przysię. A stacyjka? Przestrzega napisem: „Sprawdź, czy szlak jest wolny” i zaprasza do podróży mają poczekalnia w dość szarym kolorze. Okienko kasy w starym stylu. Do Opola? Trzydzieści sześć złotych — proszę. Przed stacyjką laweczka i kwiaty. Zawiaduje tą stacją i mieszka tutaj pani Janina Nowaczek, pełniąc funkcję zawiadowcy już od wielu zresztą lat, przedtem także i w Rozalinie, i Poniatowej.

Jesień przemalowuje już modrzewiowe wzgórza za Kębłem. Dalej niby płasko, a połać pół coraz to kroja lesosnowe wąwozy. Płaskowyż Należęzowski, część Kazimierskiego Parku Krajobrazowego. I tu kolejka wąskotorowa mogłaby być wspomnianym akcentem kolorystycznym. No i turystycznym przede wszystkim. Może jak przyjdą nowe osobowe „Rumuny”?

Ostatni „samowarek” (z Jędrzejowskiej Kolejki Dojazdowej) skończył swą służbę w grudniu ub. roku. Pochodził z lat 40-tych, a może 50-tych? Siedem parowozów i dwa wagoniki osobowe wycofane zostały już z ruchu, są w dyspozycji Ministerstwa Komunikacji, czekają na kupców. To nie, że zdezelowane, Holendrzy i Szwedzi kupią i takie. Za cenę złomu, bo o to chodzi, to znacznie taniej. Taniej, oczywiście dla kupców. Odremontują je w swoich krajach i w swoich posiadłościach zrobią z nich atrakcję numer jeden.

Kiedys pewien zagraniczny turysta interesował się, ile kosztowałaby Brama Krakowska? Zapytany przez przewodnika, po co mu taka budowla objaśnił, że posiada kolejkę wąskotorową nad jezłorem. Niedawno też ku-

Ekran i widz

Duet komediowy

BAWIĄC się znakomicie na francusko-meksykańskiej komedii „Pechowiec”, wyreżyserowanej z lekkością i wdziękiem przez Francisca Vebera, w której dwie równorzędne pierwszoplanowe role grają Pierre Richard i Gerard Depardieu (jako dwaj prywatni detektywi poszukujący zaginionej w Meksyku pięknej córki paryskiego bankiera), wciąż wracam myślą do niezapomnianego „Człowieka z Rio” Philippe de Broca. Nie dlatego, by „Pechowiec” kopiował w jakiś sposób treść tamtego filmu, w którym nieprawdopodobne przygody pary bohaterów (kreowanych przez Belmonda i wspianiale sekundującą mu Françoise Dorleac) na trasie Paryż — Rio de Janeiro, pokazane były w brawurowym tempie, a błyskotliwy dowcip słowny szedł w zawody z dowcipem sytuacyjnym, ale ponieważ najnowsza komedia Francisca Vebera mieści się, w sposób doskonały, w tym nurcie kina francuskiego, który w 1963 r. tak udanie zapoczątkował de Broca właśnie „Człowiekiem z Rio”.

Trzy lata wcześniej de Broca zadebiutował pełną poezji komedią „Igraszki miłosne”, osadzoną w „typowej” paryskiej scenerii z lat pięćdziesiątych, roziskrzoną osobowością aktorską Jean Pierre Cassela w roli trochę nieodpowiedzialnego, szukającego swojego miejsca w życiu, artysty malarza prowadzącego wraz z narzeczoną sklepik antykwaryczny. W podobnej konwencji utrzymany był „Dowcipniś” — także z Casselem.

Tymczasem w 1963 r. de Broca (po nakręceniu jeszcze przygodowo-kostiumowego „Cartouche — zbrojca”) poszedł w zupełnie nie oczekiwanym przez krytykę kierunku. „Człowiek z Rio” był połączeniem doświadczeń francuskiej komedii bulwarowej z widowiskowością. Akcja została wyprowadzona na szerokie przestrzenie. Pełne humoru sytuacje rozgrywały się na tle wspaniałej przyrody, w atrakcyjnej południowoamerykańskiej scenerii. Dając widzowi nie tylko możliwość „zabawy”, ale także niezwykłej „podróży turystycznej”. Takiej „podróży” widza u boku bohaterów fil-

mu, sprzyjał kolor oraz szeroki ekran, na którym — dzięki coraz bardziej udoskonalanym kamerom i technice zdjęciowej — daleki świat wydawał się słoneczny, bezkonfliktowy, „wakacyjny”...

Z kryzysu artystycznego, jaki od lat gnębi kino francuskie, wychodzi do tej pory zwycięsko chyba właśnie tylko komedia przygodowo-widowiskowa. Te wszystkie przygody „szalonego żandarma” — de Funesa — rozgrywane są bądź to w wakacyjnym, słonecznym Saint-Tropez, czy na turystycznych szlakach między Włochami i Francją bądź też w nowojorskiej scenerii. Te niezwykle sytuacje, w jakie zamieszany jest wciąż trochę fajtłapowaty „tajemniczy blondyn” — Pierre Richard, któremu zarówno w Paryżu jak w Brazylii nie dają spokoju nie żyć agencji rywalizujących wywiadów... Owe nieprawdopodobne pogonie poprzez całą „turystyczną” Francję, w których biorą udział dwa francuskie komedienne tuzy: de Funes (jako szef „brylantowego” gangu) i Bourvil, ów pozorny „Gamoń”, transportujący — bezwiednie — w swym Cadillacu gangsterski łup... Każdy z tych filmów został nakręcony według recepty użytej kiedyś tak bardzo udanie w „Człowieku z Rio”.

W komedii rolę wiodącą gra zwykle jeden znakomity komik, stojący „na czele zespole”. Podporządkowane mu są — z zachowaniem odpowiedniego dystansu — wszystkie inne, także komediowe postacie. Taką zasadę stosowała wszyscy „wieści”: od Chaplina i Bustera Keatona, poprzez Jacquesa Tati i Pierre Etaixa, aż po de Funesa i Bourvila. De Broca w „Człowieku z Rio” stworzył dwie równorzędne pierwszoplanowe role komediowe, męską i kobiecą. I ten zabieg — w wykonaniu Belmonda i Françoise Dorleac — udał się doskonale. Oczywiście, oboje nie byli „typowymi” komikami, no i wiele znacząca różnica płci... Ale w „Gamoniu”, a przykład, dwie pierwszoplanowe, równorzędne role, grali wybitni komicy, nb. o różnym empiol i tak odmiennych osobowościach, jak de Funes i Bourvil. I taki zabieg scenarjopisarski oraz reżyserski dał wynik znakomity...



Gerard Depardieu i Pierre Richard w „Pechowcu”.

W oglądanym ostatnio na naszych ekranach „Pechowcu” Francis Veber postawił znowu na równorzędnych poziomach dwie czołowe role komediowe. Choć postaci obydwu detektywów, usiłujących rozwiązać zagadkę meksykańskiego porwania pięknej Francuzki, są tak krańcowo różne! Pierre Richard nie jest tym razem strzykiem, „tajemniczym blondynem”, ale zwyczajnym pracownikiem księgowości, którego — podobnie jak atrakcyjną córkę jego bankowego pryncypala — przesładuje bezustanny pech. Bankowy psycholog Mayer wysunął stąd teorię, że należy go wysłać do Meksyku wraz z autentycznym detektywem (Gerard Depardieu) jako swoistego „wabia”. Takie same pechowe przygody, jakie przydarzyły się zaginionej dziewczynie, mogą spotkać także i jego. I w ten sposób, „po nitce do kłębka”, właściwy detektyw dojdzie prawdy. Teraz można już tylko mnożyć dowcipne sytuacje, a osadzając je w malowniczym pejzażu Acahualco oraz podzwrotnikowej meksykańskiej puszczy, i dodawszy nieco scen kółkowych oraz gangsterskich, czekać na... szczęśliwe rozwiązanie.

Aby uzyskać jednak ostateczny efekt artystyczny, musi się wspomnieć powyższej prościutką fabulkę przypisać iście mistrzowskim aktorstwem. I to się Veberowi w pełni udało. Pier-

re Richard i Gerard Depardieu tworzą w „Pechowcu” prawdziwie bezbłędny duet komediowy!

Tym bardziej to zaskakujące, że o ile ten pierwszy jest komikiem od lat sprawdzonym i niezawodnym, który do perfekcji wyczelował swój „styl” pechowego i trochę niezdarne, ale przy tym wcale atrakcyjnego dla kobiet młodego mężczyzny „ze sfer inteligentnych”, to ten drugi — w tak komediowej roli występuje chyba po raz pierwszy. Potwierdza się tutaj zresztą jeszcze raz przekonanie krytyki, że Gerard Depardieu — ten najwybitniejszy dzisiaj francuski aktor młodego pokolenia — jest aktorem zdumiewająco wszechstronnym. Występuje z równą łatwością w filmach psychologicznych jak gangsterskich czy przygodowych. Stosunkowo niedawno oglądaliśmy go w dramatycznej roli Dantona (która przejdzie niewątpliwie do historii kina) — w filmie Andrzeja Wajdy pod tym samym tytułem. Teraz — z łatwością sekunduje Pierre Richardowi jako aktor komediowy. Jak zwykle, niesłychanie oszczędny w stosowaniu środków wyrazu, lecz jakże mimo to zabawny...

Już choćby tylko dlatego warto pójść na „Pechowca”.

M.D.

pił, zdaje się, że w Przeworsku, lokomotywę parową, a teraz widzi, bo już z mierzyl, że zmieści się ona pod Bramą Krakowską, z XIV wieku, zresztą. Do Szwecji sprzedana została lokomotywa parowa z Werbkowic, też już solidnie wysłużona. Można by je naprawić, lecz brak... kotłarzy. Nie pierwszy to (i nie ostatni) przykład przemian pewnych zawodów i specjalności. W Muzeum Kolejnictwa w Warszawie znalazły swoje poczesne miejsce wagoniki i lokomotywy ze Wschodniej DOKP. A „Pawalek”, niestety, poszedł na pociec. Zmyślony to był parowóz. Choć mocny i większy od innych wąskotorowych, mógł tylko do przodu; jadąc zaś do tyłu wykołajał się zwykle. Zwykle na Dzień Kolejarza należąca wąskotorowa podróżująca przedszkolaki, z Opola do Karcznisk. Czasami jakaś grupa turystyczna. „Orbisowskie” natomiast spaceruje na trasie Jędrzejów — Pińczów organizowane są dla turystów z RFN i Anglii. Jak już wspomnieliśmy, należąca wąskotorowa do uzdrowiskowych i turystycznych atrakcji nie należy.

Po drodze Niezabitów. Jeszcze jedna stacyjka z czasów „młodości” należącej do kolei. Łatwiej było się doszukać daty otwarcia pierwszej na świecie regularnej linii wąskotorowej dla użytku publicznego, niż daty budowy należącej ciuchci. Tamta, pierwsza w świecie, wyruszyła w 1832 roku torem o szerokości 597 mm, łącząc miasta Festinog i Tremadoc w Anglii, a należąca kolejkę budowali — jak powiadają tutejsi mieszkańcy — Austriacy, gdzieś w 1914 czy 1915 roku. W każdym razie budowali ją dla opolskiej cukrowni. Z kasztanowej alei wjeżdża kolejką na niezabitowski peron. Poczekalnia tu jakby weszła od wąwozów, pewnie z powodu „trawiajst” zieleni łąk i lamperii. Mocne kraty chroniły kiedyś kolejowego kasjera. A może i kasjerkę? Po drugiej stronie szosy — wiekowa

kuźnia i punkt odbioru buraków dla opolskiej cukrowni, transportem samochodowym.

Pan Henryk Mędryk z Karcznisk pracuje już na tej kolei od 30 lat. Zaczynał pensją 364 złotych. Dzisiaj średnia jego zarobków (plus premia) jest około 40 razy większa... Pan Henryk żył się ze swoją pracą, ludźmi, koleją. Pełni funkcję kierownika pociągów. Nie, nie zamieniłby „swojej” stacji w Karczniskach, choć podróżował sporo. Do kolejarskiego fachu namówił też swojego kolegę. Jana Kozłowskiego, który miał go tylko zastąpić na czas wojska, a został na dalsze 30 lat. Jest teraz dyżurnym ruchu. Nie żałuje, chyba. Ojciec pana Henryka też był kolejarem, a córka Anna jest już na kursie dyżurnych ruchu. A więc tradycja rodzinna. Długoletnimi pracownikami tej stacji i linii są — uzupełnia pan Henryk — także Władysław Woś i Wacław Goliszek.

Rozglądam się po stacji. Budynek, jak wszystkie inne na tej trasie, dość już podeszły w wieku. Można powiedzieć, że i zażywny, bo ruch tu duży. Lokomotywnia w Karczniskach prowadzi remonty dla całej linii należącej do kolei. Jest tu także piękna świetlica zorganizowana czynnem kolejarskim, jest punkt biblioteczny, jest gdzie urządzić zebranie i zabawę. A co z dziełami kolejką? Tak, jeździła w czasie okupacji. Niemcy dowozili nią transporty austriackich Żydów do obozu w Poniatowej...

Jest pewien ciekawy epizod, opisany przez byłego pracownika tej stacji, już na emeryturze, pana Stanisława Widawskiego. W czasie okupacji był on tu zawiadowcą. Otóż 23 lipca 1944 roku ówczesny komendant żandarmerii z Opola Lubelskiego wydał polecenie niezwłocznego spalania 11 parowozów. Pan Widawski przyjął z niedowierzaniem tę hłobową wieść. Słyszeli ją

również — zawiadowca parowozowni Jan Halat i tokarz z warsztatów — Michał Piech. Po szybkiej naradzie postanowili ukryć parowozy na odległej o 4 km bocznicie w lesie, sami też „znikając” z oczu wroga. 25 lipca od strony Puław nadeszły pierwsze radzieckie czołgi. Przeszły Karczniska, kierując się w stronę Opola Lubelskiego. Stacja i miejscowość były już wolne. Działania wojenne pozostawiły jednakże spore uszkodzenia, zerwana była łączność. Następnego dnia, 26 lipca, pan Widawski, jako zawiadowca stacji, zdawał raport ze stanu taboru, funkcjonowania stacji, liczebności personelu itp. radzieckiemu pułkownikowi. Pisemne polecenie brzmiało: uruchomić kolej oraz oddać do dyspozycji radzieckich władz wojskowych pięć pociągów z kompletnym wyposażeniem na dzień 27 lipca, na godzinę 5.00 rano. Do pracy poderwane zostały wszystkie służby, cały istniejący i zastępczy personel należącej kolejkę. Należało też usunąć przeszkody, naprawić wiadukt. Od strony Wisły słychać było potężne detonacje. „Czas i strach naglił” — jak wspomina pan Widawski. Zadanie zostało terminowo wykonane. Kolej ruszyła trzeciego dnia po wyzwoleniu; od linii ognia dzieliła ją tylko szerokość Wisły.

Dobijamy do końca naszej „podróży” należącej wąskotorową. Przed nami Opole Wąskie. Jakże tu ładnie, schludnie! Powiedziałby ktoś, że widać kobiecą rękę. I miałby rację, bo zawiadowcą tej stacji jest pani Zofia Lipiec. Rozmawiamy o odpowiedzialności tej funkcji, wymagającej wysokiej sprawności psychofizycznej, dyscypliny, pełnej dyspozycji czasowej, żeby nie powiedzieć — poświęcenia.

Pani Zofia pracuje tutaj od 1954 roku. Najpierw była kasjerka, przechodząc coraz to bardziej odpowiedzialne funkcje w kolejowej hierarchii, aż do

zawiadowcy stacji. Rozmawiamy też z panią Zofią o problemach codziennej pracy i funkcjonowania stacji. W każdym razie przydałby się większy tabor — twierdzi pan zawiadowca, — Ożywiłoby to znacznie przewozy, choć przecież nie są one takie male. Do samego Opola Lubelskiego dociera prawie 100 tys. ton towarów. A jednak kolej wąskotorowa zdaje się być koleją zapomnianą — konkluduje na koniec pani Zofia. O 16.25 odchodzi „osobowy” wąskotorowy do Naleczowa...

„Przesiadam” się, by złożyć jeszcze wizytę naczelnikowi Zarządu Kolei Dojazdowych w Chelmie. Inż. mgr Henryk Stefański nie szczędzi informacji, ani też nie kryje problemów. A największe z nich to m. in. brak materiałów do naprawy wagonów, brak części, brak stali kształtowej i tarcicy. Zakłady Naprawcze Taboru Kolejowego w Nowym Sączu i Opolu Śląskim nie nadążają za bieżącym remontem „normalnego” taboru a cóż dopiero z lataniem „zabytków”, jakimi są wagoniki koleji wąskotorowej. Też mają braki w ludziach, materiałach, częściach — ogólna to dolegliwość ostatnich lat. Dobrze, że są transportery (217 sztuk), lecz i one wymagają dobrego toru. Prowadzi się zresztą wymianę starych szyn na szyny typu ciężkiego, a więc przedłużające żywotność i wytrzymałość tych linii, jakby je oceniać, czy krytykować — ekonomicznych przecież i potrzebnych.

Czy, pomimo braków i niedostatków zarysuje się nieco szersza perspektywa dla wąskiego toru, nie tylko należącego, pokaże czas...

Marta Denys

ZAKŁAD był nieduży. W jednym pokoiku, przedzielonym cienką ścianą ze sklejek, pomalowanej na zielono, mogło się uczesać w ciągu dnia kilka kobiet lub ostrzyć i ogolić kilkunastu mężczyzn. Właściciel, mistrz Zenon Lagodny, był fryzjerem od wielu lat. Jego ręce tworzyły na głowach dzieła sztuki, które, niestety, były opłacane według zwykłych cenników. Tylko wielki upór i ogromne serce, a nadto duża wrażliwość artysty, powodowały, że nie rzucił interesu i nie odszedł z miasteczka. W jego zakładzie co dzień toczyła się walka. Dążeniem Zenona Lagodnego było, aby zauważono jego artystyzm, dostrzeżono piękno jego dzieł. Marzył, by w końcu ktoś obudził się z małomiasteczkowego snu i wypowiedział kilka słów, których oczekiwał:

— Ach! Jakież to piękne! Panie Zenonie, pan jest prawdziwym artystą! Mistrzem!

— Ale gdzie tam — odrzekłby wówczas z wielką skromnością i zabrałby się do urzędywiania jeszcze piękniejszego zamysłu.

Ale jak na złość nikt z tego przekłętą snu zbudzić się nie chciał, a Zenona L. powoli opuszczały siły i wola działania. W końcu postanowił raz jeszcze podjąć walkę i wyraźniej zaakcentować swoje osiągnięcia. Po ukończeniu eudowniej fryzury, a ją pałacyk, na głowie pani burmistrzowej, znowu nie doczekał się uznania. Spojrzała tylko zimno w lustro, skinęła lekko — ni to z irytacją, ni to z gniewem, ale na pewno bez okazywania zadowolenia — nie oglądając się, ruszyła ku drzwiom. Mistrz uczynił to, co już wcześniej umyślił sobie zrobić w odpowiedzi na taką bezczelność i brak poczucia piękna, właściwego odbioru jego kunsztu. Szybko wyjął z szuflady małą proporcję ze swoimi inicjałami: ZL i niepostrzeżenie wetknął go w czubek okazałej budowli włosów. Z okna widział, jak klientka dumnie i zdecydowanie idzie ulicą, nie odpowiadając na wyjątkowo dzisiaj niskie ukłony mieszkańców miasteczka.

Dopiero dwie godziny później, podczas gołenia stróża porządku publicznego, drzwi zakładu otworzyły się z trzaskiem i stanęła w nich rozgniewana burmistrzowa. Pałacyk na jej głowie zamienił się pod pazurami rozszereżonej kobiety w szopę, a mistrzowi wydało się, że całkiem blisko zaryczał lew. Wielka postać doskoczyła do niego i z rozmachem wbiła mu kijek w rozporek. Wychojąc, zawadziła o fotel z siedzącym na nim policjantem, wskutek czego ten wywalił się na podłogę i wybił sobie kilka zębów. Z tej przyczyny Zenon L. stracił w tym dniu także drugiego stałego klienta. Był to cios decydujący.

Nie wiedział już, jak podnieść się i podjąć walkę lub przynajmniej upomnieć, że jest nadal do niej gotowy. Po wypadku z panią burmistrzową zdecydowanie obniżyła się kategoria zakładu. Mistrz stał się teraz zwykłym cyrulikiem, do którego chodzono z konieczności, choćby z potrzeby zlikwidowania zarostu. Kobiety natomiast przestały uczeszać w ogóle i przeniosły się do pobliskiej konkurencji. Od czasu do czasu przychodzili tu jednak przyjeźdźni — ci, co zawitali do miasteczka w dzień targowy, na jarmark, albo do urzędów. To było upokarzające. Pan Zenon czuł, że jest wyrobkiem, jego tytuł mistrza — tak mu się pewnego wieczoru wydało — upadł i potoczył się w ciemny kąt. Nie był już nim dla tamtych, chociaż dawniej właściwie też nie umieli lub nie chcieli tego uznać. Ale wtedy miał jeszcze tę nadzieję. Pewnego dnia zapłakał. Czuł się mały i bezbronny. Nikt nie mógł mu pomóc, bo nikogo bliższego już nie miał. Ci, których uważał za sobie przyjaznych, unikali go. Tymczasem ludzie nie ograniczali się tylko do chłodnej obojętności. Pogardzali nim na każdym kroku. Starali się okazać mu swoją wyższość i udowodnić, że jest kimś gorszym, kimś od ucinania włosów w określonej odległości od skóry. Robiono sobie też z niego żarty. Przychodzili do zakładu klientki kompletnie łysy.

— Proszę mnie ładnie uczesać! — żądał wesoło i siadał z poważną miną na fotelu.

To dopiero było straszne! Pan Lagodny nie mógł sobie pozwolić na okazanie braku uprzejmości. Bo gdyby wyrzucił go na ulicę, ten natychmiast podniósłby krzyk i ludzie, źle nastawieni do niego, uwierzyliby tamtemu. Może ich sylwetki rysowały się za oknem nie tylko, aby się jego kosztem zabawić, naigrawać z niego? Może czekają na moment, kiedy nie wytrzyma i zaprzeczy znaczeniu jego nazwiska i rzeczywiście wypchnie, a nawet wykopie kpiarza na ulicę? Pragnął go pognać, poniżyć jeszcze bardziej i zniszczyć? Na tyle są pewni siebie, że nikt nie zapyta tysonia, po co ten poszedł do zakładu Zenona Lagodnego.

Mistrz powinien odejść, a nie chciał tego. Był już stary i nie miał siły, aby zaczynać wszystko od początku. Dlatego stał nad głową tysona i pytał, jak go uczesać. Tamten, z trudem powstrzymując śmiech, precyzował życzenie i zaczynała się gra. Mistrz układał niewidzialne kosmyki, skracał, cie-

nował, a wszystko przy ogłuszającym śmiechu tamtego i widowni wspinającej się do okna. Potem łysy wstawał, rzucał pieniądze na stolik i ze śmiechem wychodził, by czym prędzej opowiedzieć o tym wydarzeniu znajomym. Od czasu do czasu zdarzał się prawdziwy klient, ale był to — jak już powiedzieliśmy — wyłącznie ktoś przyjezdny, nie znający całej historii miasteczkowego fryzjera. Wtedy mistrz na chwilę zapominał o koszarach. Były to jednak bardzo rzadkie wizyty.

Czuł się coraz gorzej. Zaoszczędzone pieniądze powoli topniały. Pewnego dnia przyszła nawet do niego jakaś dama z prośbą, by ostrzył jej puciołkę. Przez chwilę — czując głód — wahał się, lecz poczucie krzywdy, honoru i dumy były naderżnięte. Nie zdecydował się na taką formę zarobku.

FRYZJER

Wojciech Próchniewicz

Tak więc w końcu pozostał Zenonowi Lagodnemu łysy. Przychodził tu, by zabawić się, a może i z litości, aby nie umarł z głodu. Odwiedzali go na tyle często, żeby nie pozostał bez zajęcia. W końcu przyzwyczaił się do tej mistyfikacji. W swojej fry-



Rys. Adam Lep

zjerskiej wyobraźni komponował nowe fryzury. Przez pewien okres stosował się ściśle do wskazówek okrutnych klientów. Ale pewnego dnia...

Do zakładu wszedł łysy grubas, dobrze fryzjerowi znany, gdyż najczęściej korzystający z taniej rozrywki.

— Jak szanownego pana uczesać? — zapytał grubego i już przygotował nożyczki i grzebień.

— Proszę... cha, cha, cha! z przedziałkiem z lewej strony, z przodu grzywka i skrócić baczki — pękał ze śmiechu gość.

— Służę uprzejmie — mruknął mistrz i zabrał się do dzieła.

I w tej chwili, gdy miał już wyrównać grzywkę, uświadomił sobie, że przecież może go oszukać. Ma prawo oszukać. Przecież ten człowiek przyszedł tu, żeby go ośmieszyć! I tak się nie pozna, w jaki sposób będzie go czesał, bo dla takich jak on prawdziwa sztuka jest nieosiągalna. Zatopił się więc w pracy twórczej. Od tej pory nie było grubasa, nie było łysej głowy. Były natomiast puki pięknych włosów uroczej blondynki. Cesał ją na rozmaite sposoby. Potem burzył swoje dzieła, rozczesał i

tworzył nowe, jeszcze bardziej pomysłowe i piękniejsze fryzury.

Tego właśnie dnia mistrz Zenon Lagodny odszedł. Zniknął za niewidzialną ścianą. Jeśli ktoś próbował go odnaleźć, musiałby przejść na drugą stronę zakładowego lustra. Spotkałby tam wielce zaskoczonych i zdumionych klientów mistrza, i to nie byle jakich. Od chwili odejścia fryzjer zmienił się. Poczuł swoją wielką wartość. Przychodzili bowiem do niego bogaci fabrykanci, właściciele majątków ziemskich, zamożne damy, niektóre bardzo piękne, a pewnego razu, zajęła przed zakładem dziewczyna księżęca. Był to najszczęśliwszy, jak dotąd, dzień w jego życiu. Księżę był w doskonałym humorze. Zdecydował, że fryzjer uczesze całą rodzinę. Zenon L. wzniósł się na wyżyny swoich umiejętności. Był to niewątpliwie wielki sukces, bo gdy mistrz skończył pracę, księżę stanął naprzeciw niego i rzekł:

— Zaiste, jest pan wielkim artystą! Słyszałem o tym od dawna, ale musiałem się przekonać na własne oczy — po czym wyciągnął dłoń, księżęca do fryzjera. Ten ujmując ją, nie wiedział, co ma właściwie odpowiedzieć. Był bardzo wzruszony. Ręka była ciepła i jakby znajoma.

Wkrótce potem zakład opustoszał, a mistrz pozostał w nim sam. Stojąc na środku, ścisnął dłoń i uśmiechał się leciutko. I odtąd jeszcze bardziej się cenił. Z zewnątrz nie wpuszczał do zakładu nikogo, nawet łysych, którzy dotąd niejako utrzymywali go przy życiu. Teraz żył w swoim zakładzie wśród bogatych klientów. Za drzwiami pozostała szara masa tych, którzy nie doceniali go nigdy i nigdy by nie potrafili zrozumieć jego wrażliwej duszy.

Mineło parę dni. Mieszkańcy miasteczka przechodzili obok drzwi fryzjerskie obojętnie. Niektórym wydawało się, że stary już cyrulik wyjechał, inni znów snuli domysły, że jest może poważnie chory. A tymczasem tam, wewnątrz, trwała nieustanna praca. Przez lustro przewijały się wciąż nowe osoby. Z niektórymi mistrz znał się już bardzo dobrze, bo tak cenili sobie jego umiejętności, że potrafili korzystać z usług kilka razy w tygodniu.

W któryś z tych bardzo szczęśliwych dni usłyszał łomot od drzwi. Przez dłuższy czas starał się przeczekać natręta, ale ten ktoś dobijał się z uporczywością, właściwą tylko pewnego rodzaju urzędnikom. W końcu fryzjer zdecydował się przerwać pracę i przeprosił krzyżem swojego gościa, umawiając się z nim na inną godzinę.

Przed zakładem zebrała się już spora grupa gąplów. Niektórzy patrzyli w milczeniu, inni wdali się w dyskusję z uporczywie pukającym komornikiem. W końcu coś za drzwiami zachrotało, szczerknął ciężki zamek, a z wnętrza uderzył w urzędnika strumień czubego i zgniełego powietrza. Zaraz potem z mroku wyłoniła się chuda i zaróżniona twarz Zenona L. Oczy jego świeciły gorączką i z niepokojem patrzyły na zebranych.

— Muszę zająć pański lokal — powiedział zimno urzędnik.

— Ze co...? — wyskrzecztał stary, nie rozumiejąc.

— Zakład od wielu miesięcy nie jest opłacany, a poza tym należycie nie wykorzystywany.

— Nie wykorzystywany... — powtórzył bezwiednie fryzjer: — Jak to, nie wykorzystywany? To znaczy... nikt nie chesze?

— Tak. Mistrz poruszył się niespokojnie. Mimo, że zszedł wszystkim z drogi, to jednak ktoś chce mu zabrać brutalnie to, co jest jego pracą i to nareszcie prawdziwą. Zmienił się nagle na twarzy i szarpnął drzwiami na oścież. Światło wpadające do wnętrza odkryło brudne kąty, od dawna nie sprzątane.

— Nie?! — wykrzyknął starzec, patrząc groźnie na komornika.

To nie, że w środku jest biednie, to nie ma żadnego znaczenia. Przecież teraz może im pokazać, co potrafi naprawdę. Kto tu właściwie ma rację? On! Nie ma najmniejszej wątpliwości. Bez zbędnych słów usunął się, patrząc wyniośle na zebranych i stojącego obok urzędnika. Następnie odwrócił się w stronę drzwi i wykonał głęboki ukłon. Niech patrz! Niech ich zaraz zatka. Bo oto w drzwiach już dostrzegł pana barona z małżonką. Cudowna koflura pani błysnęła w słońcu bogactwem niuansów i biżuterii, a włosy pana barona...! To jednak nie było wszystko. Teraz dopiero się zaczęło. Pary wychodziły z zakładu powoli i majestatycznie. Jedną po drugiej uśmiechały się do zgiętego w ukłon mistrza, a na tłum nie zwracały najmniejszej uwagi. Dobrze tamtym! Niech teraz się wstydzą.

Kiedy goście już przeszli, zdecydował się na jeden pogardliwy i krótki uśmiešek w stronę tłumy. Zastawiając otwarty zakład, jakby już nie miał żadnego znaczenia, ruszył w ślad za swoimi przyjaciółmi. Szedł pustą ulicą, potykając się na koczach lbaech w rozwianym, brudnym fartuchu. Na nieogolonej i brudnej twarzy mistrza Lagodnego rozkwitał uśmiech szczęścia. Zniknął za najbliższym zakretem, nie odwracając się ani razu.

Archiwum mistrzów anegdoty

Anatol France, jadąc pewnego razu do rożka, stworzył ułogę woźnicy, że zbyt ostro biał konia. Woźnica zwołul natychmiast bieg konia, a gdy stanął u ce-

lu, France zganil go za opieszalosc. Woźnica na to, strydac z bisarza:

— Nie moge sie spieszyc, nalezyc do Towarzystwa Ochrony Zwierzat.

Anatol France wyjal z portmonetki piec monet i dat z nich cztery woźnicy. Zatrzymujac piata w reku, powiedzial:

— Chcialem wam dac na piwo, ale nie

mogę. Nalezyc do Towarzystwa Wzroznictwa.

Bernard Shaw, bedac matym chlopcem, powrocil pewnego dnia do domu ze szkoly i zastal niezwykle rozgniewanego ojca:

— Czy to prawda? — zapytal ojciec groźnie — ze jestes najleniwszym uczniem w szkole? Powiedzial mi o tym twój nauczyciel. Odpowiadaj!

— Nie, papo! Najleniwszy to jest nauczyciel — odpowiedzial Shaw — bo jak my zostemy pracujemy, to on sobie siedzi za katedra i dlubie w nosie.

Tristan Bernard w swojej mlodości bezskutecznie zabiegal o wspolpracę z „Figaro”. Rekopisy jego przewaznie wdrozwaly do redakcyjnego kosza. Pewnego razu, kiedy Tristan przybyl do redakcji, doszedzial sie, ze redaktor prowadzacy dzial literacki jest nieobecny. Zlozyl wiecej nowy rekonis do rak woźnicy i powiedzial:

— Niech pan bedzie uprzejmy w zastepstwie redaktora wrzucic ten rekonis do kosza.



NIE, nikogo w „Oazie” nie znam! — Wacek zaprzeczył gwałtownie i ta jego reakcja wzbudziła czujność żony.

— Przypnij się! Z pewnością jakaś kelnerka wpadła ci w oko! Już wiem, dlaczego nigdy nie chciałeś mnie zabrać do Chełma. Kręcisz, że niby jeździć po zakupy. Pierwszy raz słyszę, aby w Chełmie produkowano samochody!

— Przypomniał mi się żydowski dowcip — uśmiechnął się Leon.

— No, no, słuchamy!

— Przychodzi Hersz do rabina i pyta: — Rebe, czy w Sądny Dzień Żyd może się położyć z kobietą do łóżka? — Może — odpowiada Rebe — ale tą kobietą musi być własna żona. — Dlaczego? — A dlatego, że w talmudzie jest wyraźnie napisane, iż w Sądny Dzień Żyd nie ma prawa mieć przyjemności!

— Panie inżynierze, my się chyba pokłócimy! Proszę mi tu męża nie sprowadzać na złą drogę! — Pani Maria pogroziła palcem.

— Poczekajcie chwilę, niech ten Leon nie będzie taki mądry! — Wacek pobiegł na górę i po chwili pokazał się z niebieską książeczką. „Tylko bez cudów, humor żydowski” — zawołał. — Wybuliłem niedawno 120 złotych. Ten kawał, który opowiadał Leon, tutaj jest! O, jeszcze wam coś przeczytam: „Łabędź poznaje na balu panią Kon i robi jej niedwuznaczną propozycję. Pani Kon nie posiada się z oburzenia i skarży się mężowi. Kon z Łabędziem wychodzą z sali. Po upływie dziesięciu minut wracają w najlepszej komitywie. — Salcie — mówi mąż do żony — wszystko w porządku, ten pan myślał, że jesteś prostytutką...”

— Też dowcip! — Pani Maria zrobiła kwaśną minę. — Pokaż mi tę książeczkę, ja coś poszukam... O, mam, posłuchaj, Wacusi! — Co to, Zółtko, dostales po głbie i nie zareagowałeś? — Owszem, zareagowałem. — Jak? — Spuchłem... Co ty na to?

— Niby jakaś aluzja? — Ależ skąd! Dlaczego się nie śmiejesz? — No, kiedy już jesteśmy przy kawałkach żydowskich, to przypomina mi się powiedzenie takiego humorysty... Zaraz, jak on się nazywał? Mniejsza z tym, to był taki Żyd niemiecki. Otóż twierdził on, że małżeństwo to grób miłości, ale, na szczęście, istnieje jeszcze życie pozagrobowe!

— Ja też znam jeden dowcip — włączyła się Wanda. — Icek dowiedział się, że jego żona zdradza go ze współnikiem. Nie wierzy, ale pewnego dnia spostrzegł swego kumpla w objęciach małżonki. Zdumiony woła: — Wariat, kompletny wariat! Ja muszę, ale ty?

— Dobrze, znakomite, to mi się podoba! — zarechotał Wacek.

— Nie wiem, czy byś tak powiedział na miejscu tego Icka! — Pani Maria przeciągnęła się kokieterijnie.

— Biuścik masz niczego — skomentował Wacek.

Leon spojrzął na zegarek. Myślamy był przy dzieciach, które pozostały bez opieki.

— Chyba już pójdę. Państwo się nie obrażaj, ale mam jeszcze w domu małą robotkę.

— Leon, przecież dopiero zabawa zaczyna się rozkręcać! Możemy tutaj zrobić małą prywatkę. Po co zresztą pokazywać się gdzieś publicznie? Maja ci patrzeć na ręce, ile wydajesz?

— Inny razem, moi drodzy, naprawdę muszę...

— Panie Leonie — przerwała Wanda. — Może uda nam się złapać taksówkę? Chętnie wybrałabym się do miasta, bo chcę odwiedzić moją przyjaciółkę. Podrzuć mi pan?

— Oczywiście, że tak. Z wielką przyjemnością!

— Chcesz się urwać z Leonem! Ładnie to tak, ładnie? — Wacek znowu napełnił kieliszek. — Strzeżniennego, dobrze?

Przechylił.

Jeszcze przez chwilę trwały przygotowania: Wanda przebierała się w inną suknię, a w tym czasie powtórzono strzeżniennego. Leon poczuł, że ma już całkiem nieźle w czubie, ale starał się nie dać tego poznać po sobie. Za to Wacek zaczynał kłąć niewybrednie.

— Idź spać, spieś się! Ze też tak ciągniesz do tej wódki. Jak nie możesz, to nie pij! Spójrz na

pana inżyniera! Kultura, pełna kultura, a ty zachowujesz się jak ostatni cham.

— Cham, ja cham? Kur... w du... je... Odpie... się ode mnie, bo jak ci przy...

— Uspokój się, uspokój się, Wacek — Leon próbował go wziąć w karby, ale pani Maria nie potrzebowała pomocy. Pchnęła męża na tapczan, coś mu szepnęła do ucha, a kiedy nie przestawał belkotać, z całej siły uderzyła go po twarzy.

— Panie inżynierze, ja jestem gotowa! — Wanda, ubrana w zwiewną sukienkę ze złotymi nitkami, z dyskretnym makijażem na twarzy otwierała drzwi do korytarza. — Proszę bardzo! Droga wolna!

— Jaka pani urocza! — Leon nie wytrzymał. I wcale nie kłamał, bo prezentowała się rzeczywiście wspaniale. Z taką kobietą mógł się pokazać wszędzie. Wszędzie, ale nie w Lublinie, gdzie był aż za bardzo znany... Ale teraz po tym alkoholu i po tym telefonie od żony, która służbowo przebywała w „Unii”, było mu już właściwie wszystko jedno.

— Wando, tylko nie uwiedź pana inżyniera! — Pani Maria powiedziała to pół żartem, a pół serio. Pół serio, bo dobrze znała swoją siostrę.

— A myślisz, że się da? To twarzieli! No i żona go pilnuje! Nawet tutaj! Panie inżynierze, czy pana małżonka mnie nie pobije?

— Niechże pani nie przesadza! A cóż my takiego złego robimy?

— Na razie rzeczywiście nic. Ale krew nie woda! — uśmiechnęła się zalotnie.

Leon nie należał do ludzi, którzy żyją tylko swoim zawodem. Interesował się literaturą, znał twórczość niektórych lubelskich poetów. Chciał teraz coś zacytować, ale nic mu nie przychodziło do głowy. Przypomniał sobie myśl Pawła Gembala: „Przyszli znajomi. Rozmawiamy, pijemy herbatę i wino. Słowa krążą wokół nas i kipią z ust: To jest pewne, że gdziekolwiek człowiek się znajduje, forsa jest tak samo potrzebna jak zdrowie...” Zdrowie jeszcze mam — pomyślał, ale z forsa trochę gorzej. Forsę jednak ma ta cała Wanda, dlaczego ja się przejmuję?

Wzięła Wandę pod rękę.

— Nie boi się pan? — zapytała. A potem mocznie do niego przywarła.

Stanęli na postoiu taksówek. Przed nimi były dwie osoby, mogły więc liczyć na trzeci wóz. W pewnym momencie zobaczył zbliżającą się postać. Szwagierka Halina też go dostrzegła. Nie miał wątpliwości — już widział jej ironiczny uśmiech. „Do diabła” — zaklął w duchu.

(cdn.)

Milutcy milionerzy

JAKO entuzjasta ostrej muzyki rockowej, z dużą dozą krytycyzmu przyjmując tęskne zawodzenia piosenkarzy, wyślawiających urok miłości bądź wdzięki dam swego serca. Te sentymentalno-lzawe songi (w których celuje Julio Iglesias) niosą ze sobą nazbyt dużo lukru, toteż aby zanadto nie przesadzić ze słodkościami, przeczornie wyłączam radio.

Romantycznych wokalistów skłaniających wzrok i słuch ku klasycznemu belcanto zdaje się być ostatnimi czasy coraz więcej. Można by ich wszystkich wrzucić do jednego wora, gdyby nie fakt, że wśród ziarenek piasku trafiają się również prawdziwe diamenty. Za taką szlachetny kamień może z powodzeniem uchodzić supermodny i co ważne autentycznie zdolny duet Wham.

Nigdy bym nie przypuszczał, że ta, trzy lata temu mało znana na Wyspach Brytyjskich, para zrobi aż tak błyskotliwą karierę. Kiedy jednak usłyszałem „Wake Me Up Before You Go Go”, nie miałem cienia wątpliwości, że ci chłopcy zajądą wysoko. Chwytna melodia, młodzieńcza werwa i radość emanowały z tej bezpretensjonalnej piosenki. Powodzenie singla „Wake Me Up...” było zaskakująco duże. Rychło jednak okazało się, że to świetne nagranie znaczy niewiele przy kawałku „Carless Whisper”, z wielkim przejęciem ikąnym przez uroczego Michaela. O jego nieprawdopodobnym rozgłosie niech

świadczy fakt, że singel „Czułe słówka” okazał się jedną z najlepiej sprzedawanych płyt po obu stronach Atlantyku. Wytłoczono go już ponad milion egzemplarzy, a zamówienia rosną. Dzięki temu George Michael pocieszył się nagrodą Ivora Novello przyznawaną Twórcom Piosenek Roku. Dziś Wham ma na koncie dwa świetnie sprzedane longplaye i mało kto pamięta zapewne, że jego kariera zaczęła się dopiero w 1982 roku.

Dwaj przystojni młodzieńcy — George Michael i Andrew Ridgley — znali się dobrze jeszcze z lat szkolnych. Razem występowali w zespole muzycznym Executive, który sławy im nie zapewnił. Obaj uznali, że nie warto się tym przejmować i zaczęli wszystko od początku. Latem 1982 roku powołali do życia duet Wham. Mieli z góry wytknięty cel — spełnić zapotrzebowanie rówieśników na bezpretensjonalną muzykę do tańca. Ot taki melodyjny pop z elementami funk, a nawet disco-soul. Zaczęli od wizyty w prywatnym studiu nagraniowym w Londynie. Próbną taśmę demo posłali samemu Martinowi Kempowi ze Spandau Ballet. Ten uznał, iż warto wprowadzić Wham do profesjonalnego studia nagrań. Wybór padł na firmę „Innervision Records”, zobowiązującą się wylansować sympatycznych dziewczętnastolatków.

Pomimo sporych nakładów na reklamę pierwszy singel „Wham Rap” nie

wypadł najlepiej i dość rzadko dane mu było gościć w programach radiowych. Dopiero pod koniec 1982 roku „Innervision” wydała drugi singel „Young Guns”, przecierający szlaki uzdolnionym debiutantom. Piosenka dotarła ku zaskoczeniu twórców do trzeciej pozycji w ekskluzywnym Top 20 i szóstą prezentowano ją w dyskotekach. Nie pozostawało zatem nic innego, jak pójść za ciosem.

Kolejnym hitem w niezłym stylu wprowadzonym na listy bestsellerów singlowych była piosenka „Bad Boys”, poparta niebawem innym przebojem „Club Tropicana”. Młodzi słuchacze szaleli na punkcie Wham. W tej sytuacji album „Fantastic” kupowany był jako produkt sprawnych fachowców, wiedzących, o co w tej zabawie idzie.

Worek z przebojami duetu Wham miał się jednak rozwiązać dopiero w 1984 roku, kiedy do szczytowych miejsc najlepiej sprzedawanych i najchętniej słuchanych nagrań dotarły utwory „Wake Me Up Before You Go Go”, „Freedom”, „Last Christmas” i „Carless Whisper”. Ta ostatnia, słodka melodyjka świetnie przyjęła się także u nas za sprawą telewizyjnych Przebojów Dwójki. Po tak wspaniałej serii duet nie miał absolutnie żadnych kłopotów z wprowadzeniem drugiego longplaya „Make It Big” do puli bestsellerów dyskotekowych.

George Michael i Andrew Ridgley pozostają obojętni na rockowe niepokoję zwolenników heavy metal, czy bluesowe ciągoty weteranów tzw. dinosaurów. Stawiają na muzykę lekką, łatwą i przyjemną, spreparowaną według kanonów najnowszej mody aranżacyjnej. Mają zresztą niezłych realizatorów dźwięku, zdolnych przemienić



średniej klasy piosenkę w majstersztyk techniczny, wabiący unikalnym brzmieniem. Nie da się ukryć, iż technika odgrywa we współczesnej muzyce pop niebagatelną rolę.

George i Andrew starają się być miłi i słodcy, aby przypadkiem nie zburzyć wypracowanego image'u przyzwyczajonych, dobrze ułożonych dwudziestolatków. Choćby dlatego ich wywiady prasowe są stanowczo przesłodzone i w sumie mało prawdziwe. Bo czyż można dać wiarę zapewnieniom o torturach, jakie muszą przechodzić ścigani popularnością milutcy milionerzy, lub w konieczność zgody rodziców na każdą randkę z dziewczyną? Reklama nie musi jednak pokrywać się z rzeczywistością, co przytomni fani potrafią chyba zrozumieć.

Istvan Grabowski

OGŁOSZENIA DROBNE

Dogi niemieckie rodowodowe sprzedam. Lublin tel. 552-721. 27091/G-2

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopciowski (z-ca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórnki (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bocian, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński (dierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (dierownik działu publicystycznego), Lidia Wójcik Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie prawo skrótów. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątki w godz. 14-16. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im PKWN w Lublinie, ul. Unicka 4. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa-Książka-Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 6, tel. 255-30. Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Sikdowski 2/1. Telefon: sekretariat, redaktor naczelny, z-ca redaktora naczelnego 225-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 875-33. Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin skrytka pocztowa 231, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji. Zam. 1832/83, 1983-19-92. 1-4.

Sobota, dwudziesty pierwszy dzień września. Koniec lata.

19.30. Wieczór zrobił się parny. Ciemne chmury wisiały nisko. Okna w domach pootwierane. Słychać głosy i telewizyjny sygnał dziennika. Na postojach taksówek — długie kolejki. Kwiaty i więcej elegancji niż na co dzień. W miarę, jak opuszczam główne ulice osiedla, rzędna latarnie. Małe uliczki są ciemne. Oszczędność. Tylko czy da się oszczędzać na bezpieczeństwie? Po ostatnich notatkach prasowych bałem się trochę tego nocnego Lublina. Napady, grabieże i pobicia. Bałem się, czy nie dojrzą jakiejś prawdy, jak bardzo jest już z nami niedobrze.

20.00. W Rejonowym Urzędzie Spraw Wewnętrznych lawina meldunków. Oficer dyżurny dwoi się i troi. Co chwila odzywa się brzęczyk telefonu. „Dziś jeszcze nie najgorzej — mówi oficer. — W piątek, przed wolną sobotą to jest dopiero to. W sobotę drobni pijaczkowie już liżą rany, czyli kaca, a wielu ludzi opuszcza miasto. Powinien pan przyjść wczoraj”. Po krótkiej rozmowie z zastępcą szefa urzędu dostaje przydział. 14. To nasz numer wywoławczy. Polonez, trójka młodych milicjantów i ja. Trochę ciasno, gdyby trzeba kogoś holować... Meldunek. Na przedmieściu ktoś uderzył nożem człowieka. Ofiara jest już w szpitalu.

20.30. Ruszamy. Nasz rejon to śródmieście, ale tu nikt nie może sztywno trzymać się rejonów. Krakowskie oświetlone żółtym światłem przeciwmgielnym. Duży ruch. Ludzie idą parami i grupkami. Jedziemy wolno. Po stoje nadal zapchane. Na jednym z nich pani Cesia krzyczy coś do nas. Ma jaskrawy makijaż i pełen różu strój. Pozostali z kolejką trzymają się w oddaleniu. Meliny jakby dziś przychyliły. „Unia”. Tu zawsze spokojnie. Za drogo dla żuli. I jakby za jasno.

20.55. „14 zgłoś się”. Jedziemy na Tatary. Nigdy nie wie się po co. Dowiadujemy się na miejscu. Polecenie musi być krótkie, by nie blokować linii. Portier w zakładzie urzęda ponoć bibkę. Dzwoniła kobieta. Szukała tam męża. Stajemy. Stary człowiek drzemie na leżance. W zakładzie cisza. Na placu przed magazynem rozrzucone sprzęty i płyty z betonu. Stary człowiek jest trzeźwy. To widać. Lipa. Może baba ma do niego złość? A może i kiedyś była tu bibka? Strata czasu koniecznego dla naprawę potrzebujących. Wracamy do śródmieścia.

21.20. W „Europie” wesele. Miejsc wolnych brak. „Będziemy mieli spokój. Przynajmniej tu”. Muzyka jest głośna, a pary wirują w podskokach. Panowie pod muchą, a panie w długich sukniach. Na lawce przy postojach drzemie człowiek. Trzeba go obudzić. Inne przebudzenie może okazać się zbyt bolesne. A przed klasztorem dwóch młodych ludzi z wielkimi miotłami zmiata z jezdni suche liście. Nie są ufnie. „Sprzątamy przed własnym

domem. To wszystko”. Też dobrze. Odjeżdżamy. „14 zgłoś się”. Tym razem Kośmiłek. Młoda kobieta. Mąż ponoć ją bije i chce podpalić dom. Mały pokój. Na ścianie wiele świętych obrazów. Chociaż to nie nie znaczy. Dwoje dzieci. Mężczyzna podpity, ale przytomny. Kobieta krzyczy i on zaraz też. Padają przekleństwa. Wylewają się żale. Przykulone dzieci patrzą na nas. Ale już jest spokojnie. Tu chyba poradzą sobie sami. Obiecują spokój.



Chwilę czekamy jeszcze na zewnątrz. Bo drugim razem już będzie źle. Przez otwarte okno od podwórza wtrąca się starsza kobieta. To jego matka. Lepiej, by dała im spokój. Odjeżdżamy. Drugiego wezwania nie było.

22.10. Lubartowską jedzie dwóch młodych rowerzystów. Jest meldunek o zabójstwie. Drugi tego dnia. Ale to nie dla nas. Jadą tam technicy, grupa dochodzeniowa i prokurator. Tamten człowiek od noża wciąż przebywa w szpitalu. Na ulicy nadal ruch. Trochę samochodów i pieszych. Idą wolno, bez pośpiechu. Dokąd?

22.30. „14 zgłoś się”. Stare Miasto. Stary odrapany budynek, już wysiedlony częściowo. Zakamarki i przejścia. Brud i zapach gotowanej kapu chy. Pobito staruszkę. Wnuczek. Ma około czterdziestki. Teraz leży spokojnie. Udaje, że śpi. Dawno zapomniał, kiedy wstawał do pracy. Może na dobre nigdy? W dowodowej rubryce „za trudnienie” — pusto. Ale staruszka nie skarży, tylko jej kuzynka. Wnuczek ma mieszkanie w innej dzielnicy. Stoi od dawna puste. Przy babci jest ciepło. Jeden pokój. Na ścianach dużo świętych obrazów. Wnuczek ubiera się niezdarnie i coś mamrocze, ale agresja ulotniła się bezpowrotnie. Jedziemy na Kawią. Są tam jeszcze miejsca, mimo że izba w remoncie. Gdy dojeżdżamy, zaczyna padać drobny deszcz. Deszcz potężnie, a powietrze robi się czyste i rześkie. Goście, za

dwa tysiące doba, śpią już spokojnie, w krótkich do p.p. a i c. linach. Na deszczu moknie samochód lekarza. Północ już blisko.

Północ. Deszcz przepędził pieszych. Ulice puste, śliskie. Dworzec pewnie jak zawsze. Trochę sennych podróży i paru tych, co wolą nie wracać do domu. Gwizd, stukot kół i głośniejszy ciszę. Bufet z kanapkami i oranżadą. I szybki bieg do taksówki, gdy przyjedzie „Warszawa”. Tupot dziesiątków nóg w brudnym tunelu.

sy. Zaglądam na salę. Przy rodzinnym stole — stylowo. Swiecznik. Kilku cudzoziemców: Kanadyjczyk, Szwajcar i dwóch Francuzów. „Daj mi tę noc”. Zaglądam w kartę. Duże danie obiadowe powyżej pięciuset. Wybór jest. Eskalop, rumszyk i bryzol. Tu na pewno nie z konia. Kierownik sali, pan Bogdan, częstuje mnie szybką kawą. Funkcjonariusze są już w wozie. Pilnują wezwań. Służba. To nie kinowy patrol z chwilą na drinka u znajomych i hamburgerami w barze. Na krańcach LSM-u rzucono z okien dwie petardy.

1.20. Przy składnicy harcerskiej „gwardia prezydenta” — kilku milicjantów, ormowców i szklarz. Ktoś wybił w wystawie szybę. Trzeba to zaraz zalepić. Sklep nie może pozostać otwarty. Sześć radiowozów kręci się po ulicach i uliczkach miasta. W szpitalu człowiek z pękniętą czaszką. Spod „Stylowej”. Na Czubach też chce rozmawiać z zięciem przy użyciu siły. Mgła osiada wolno na miasto. Pod antymgielną latarnią, na skrzyżowaniu ulic przystanęła para. On w smokingu, pod muszką, ona w długiej sukni. Pewnie z wesela, zapomniani przez dysponujących samochodem. Ale o tej godzinie wyglądają na pustej ulicy jak postacie z kiepskiej sztuki. W areszcie jeden z osadzonych polknął dwa wielkie gwoździe, które wydarł z przycy.

2.00. Już chyba nie się nie wydarzy. Trzeba podjąć walkę z nagłą falą znużenia. I wtedy dzwoni mąż, że awanturuje się żona. To rzadki przypadek i może zdarza się tylko na przełomie nocy. Nie awantura żony, rzecz jasna, ale żeby mąż wzywał pomocy. Na pewno Lublin to nie Chicago. Jeszcze można chodzić spokojnie i bez obawy. Z reguły cierpią ci, co szukają sami guza.

Jedna noc dużego miasta. Może nie najbardziej burzliwa i może nie najbardziej nudna. Smutna powikłaniami rodzinnymi, ale to odrębna sprawa. Wymieniamy życzenia, żeby pozostałe były zupełnie spokojne, sami w to nie wierząc. Sierżant Jan Mańkowski, plutonowy Jacek Drwał, starszy szeregowiec Jan Rozwód. Młodzi ludzie, którzy poświęcili miastu kolejną noc służby. A na Lubartowskiej urodzili się kolejni mieszkańcy naszego miasta. I na Jaczewskiego też.

5.00. Marzą mi się małe knajpki i kawiarenki, gdzie można by zjeść coś szybko i wypić kawę, i w spokoju piwo. Ale to temat na potem. Marzą mi się klubiki i kluby studenckie, gdzie byłby jazz i świece, i dobra poezja. Marzą mi się małe bary, czyste i pełne zapachu prażonego ciasta. I dyskoteki, gdzie można by potańczyć do spodu i wypić pepsa. Jak choćby u Czechów czy Węgrów. Ale to temat na potem... Na kiedy?

Zamazany deszczem i mgłą schodzi nad miasto niedzielny świt. Całkiem nowy dzień, gotowy by go przeżyć. Tylko w niektórych oknach, w bloku naprzeciw, jeszcze pałą się światła.

Krzyżówka nr 21 z szyfrem

Poziomo: 1. wieloznacznościowy gruczołek kregowców, 4. nie ma rodziców, 7. miasto wojewódzkie, 10. deszcz lub śnieg, 12. niechęć, 14. zmniejszenie bólu, 16. kamień ozdobny, 18. miasto i prowincja we Włoszech, 19. włoska waluta, 21. gaduły, 22. bezościzność, 23. ozdobny antyczny dzban, 25. trzyma spodnie, 27. jezioro na Mazurach, 29. Jasiellonka, 30. dekoracyjny nas w architekturze, często stiukowy, 31. 100 lat, 33. eksponat, 36. dąży do prowadzenia wojen zaborczych, 37. nadworny malarz Władysław IV, 38. wieloosobowy polski powiat.

Pionowo: 1. sprzeciw prezydenta wobec uchwały parlamentu, 2. na niej szklanki, 3. stan pośredni między duchowym a fizycznym w okultyzmie, 4. nieczywo na znan, 5. duży port w Algierii, 6. część świata, 8. buduje piec, 9. materiał opatrunkowy, 11. zarządzał finansami państwa lub monarchii, 13. oblubienica w „Pieśni nad pieśniami”, 15. znany poeta okresu międzywojennego, 17. minerały używane do produkcji fosforu, 20. cerkiewny obraz, 24. sieć w formie lejki, 25. rodzaj farby artystycznej, 28. nazwisko Bony, 29. największy składnik powietrza, 31. linijka wiersza, 32. arabski władca, 34. szczyt w pobliżu Swiney, 35. ołciec bogów.

L1. O15. B15. H1. D14. M7. L4. F8. P5 / A14. B1. C3. P9. H10. O10 / O1. A2 / H4. N8. A7. J2. O6 / L15. E7. G3 / D4. N13. R12. M15. C12. H8 / J4. J15. C9. H4. M13 / C15. L3. A9. C7 / A1. M4. N7. C3. H13. K5. L2. M1 / C4. M6. A11. E3. L12. D13. F15 //

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231. 29-039 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bonus ksiązkowy wartości 509 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 19 Z SZYFREM

Poziomo: kasek, śmista, szyper, Ananke, kompas, rewizja, elew, depresja, etamina, tata, animusz, amoniak, Kair, Kraśnik, sparycja, luna, nadawca, skuter, deresz, Erewan, agent, watek.

Pionowo: uszka, Tyamięnica, Kraszewski, szalej, mrówka, gruz, serweta, szafarika, Lateran, tamaryszek, inelatywa, Gaskonia, zakłady, Newton, patent, bron, drag.

SZYFR

Gdy zarabiacie pieniądze, inne wam śpiewała pieśń.

Szołem Alejchem — „Motel ayn kantora”

Nagrodę wylosował, Mariusz Pańczyzyn, ul. Katedrańska 7 m. 21, 22-100 Chełm.

	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15
A	1		2				3		4					5	6
B															
C			7	8								9			
D	10	11										12			13
E				14	15				16			17			
F	18							19	20			21			
G															
H			22												
I															
J	23			24			25		26			27	28		
K				29					30						
L	31		32									33	34		35
M				36											
N															
O	37									38					